czas

Nr (188) 36
Rok czwarty
3 września
1978
cena 5 zł

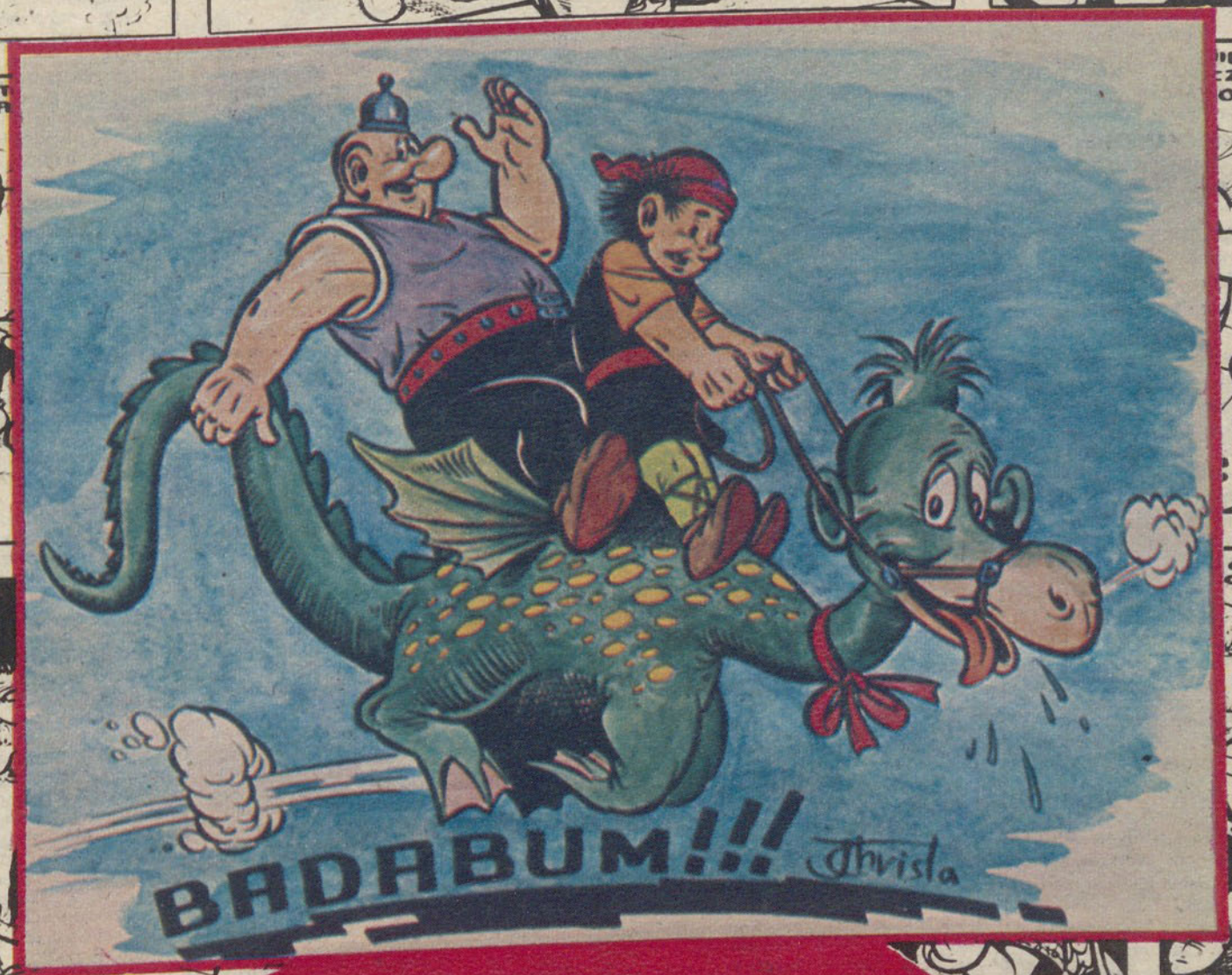

Z komiksem na ty

CZAS

TYGODNIK SPOŁECZNY

REDAGUJE ZESPÓŁ: Tadeusz Bolduan, Maciej Borkowski (kierownik działu ekonomicznego), Mariusz Dastych, Andrzej Ereciński (kierownik działu zagranicznego), Stanisław Górny, Andrzej Górtowski (zastępca sekretarza redakcji), Bogusław Hołub, Jan Jakubowski (kierownik działu oświaty i nauki), Ewa Jankowska-Driemel, Wiesław Kozyra (zastępca redaktora naczelnego), Anna Krajewska, Grzegorz Kurkiewicz, Andrzej Liberadzki (kierownik działu społecznego), Maciej Łopiński (sekretarz redakcji), Andrzej Malinowski, Zbigniew Michta (zastępca redaktora naczelnego – kierownik oddziału w Koszalinie), Jerzy Model (redaktor naczelny), Grażyna Murawska, Stanisław Pestka, Amelia Peraj, Krzysztof Pohl (zastępca redaktora naczelnego – kierownik oddziału w Szczecinie), Edmund Puzdrowski, Bohdan Rudnicki, Edmund Szczesiak, Aleksandra Skibińska, Janina Wieczerska (kierownik działu kultury i sztuki), Krystyna Weiss, Marzena Woźniak, Piotr Zieliński.

FOTOREPORTERZY: Marek Czasnojć, Zygmunt Grabowiecki, Stanisław Ossowski, Ryszard Wesołowski.

OPRACOWANIE GRAFICZNE: Stanisław Ruszkowski (kierownik pracowni graficznej), Janina Śpiewak, Janusz Wesołowski.

REDAKCJA TECHNICZNA: Alicja Bil (kierownik działu technicznego), Krystyna Tomczyk.

KOREKTA: Anna Chojnacka, Barbara Gierczak, Emma Zielińska.

ADRES REDAKCJI: Gdańsk, Targ Drzewny 3/7 (kod 80-886). Telefony: redaktor naczelny i sekretariat 31-35-66, zastępca redaktora naczelnego 31-39-16, sekretarz redakcji 31-88-14, kierownicy działów: 31-93-36 (kultury i sztuki), 31-18-25 (oświaty i nauki), 31-50-41 wew. 273 (ekonomicznego i zagranicznego), 31-43-21 (społecznego).

ODDZIAŁY: Koszalin, ul. Pawła Findera 27a (kod 75-721), telefony 229-61 i 240-27. Szczecin, Plac Hołdu Pruskiego 8 (kod 70-550), telefony 352-04 i 430-21.

WYDAJE: Gdańskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch" Gdańsk, Targ Drzewny 3/7 (kod 80-958), Dyrekcja Wydawnictwa – tel. 31-35-59.

DRUK: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Skład tekstów techniką LINOTRON 505 TC.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych materiałów. Zastrzegamy sobie prawo skracania tekstów. Za treść reklam nie odpowiadamy.

Na okładce: Komiksy zdobywają popularność. Rozmowa z Januszem Christą, rysownikiem najpopularniejszych polskich komiksów na str. 25 i 26.
Repr. RYSZARD WESOŁOWSKI

Zam. 1269. Numer zamknięto 23.VIII 1978 r. S-5. Indeks 35481.

Wrześniowe refleksje

1 września 1939 roku przypatrywałem się zwycięskiej bitwie powietrznej w rejonie Murzynna pod Toruniem, w której – jak potem przeczytałem – uczestniczył as naszego lotnictwa, mjr Stanisław Skalski. Dziewięcioletniego chłopca rozpierała duma z epizodycznego co prawda, ale przecież zwycięstwa. Byłem przekonany, że szybko sobie poradzimy z najeźdźcą w powietrzu i na lądzie, jednak na wszelki wypadek nosiłem przy sobie zwiłżoną chustkę, chroniącą rzekomo przed atakami gazowymi.

Wiary w zwycięstwo nie traciłem w czasie ucieczki przed Niemcami, ani na wiadomość o żołnierskiej śmierci mojego ulubionego generała-kawalerzysty, Stanisława Grzmota-Skotnickiego, którego podziwiałem na pięknej paradzie kawalerii w Wejherowie. Dopiero podczas bitwy nad Bzurą dwa dni spędzone pod bombami w zaroślach pod Kutnem, zachwiały wiarę w pokonanie Niemców. Myślałem już tylko o przeżyciu tego piekła. Wyszedłem szczęśliwie cały, prosto na maszerujące ku Warszawie kolumny niemieckiego wojska. Dla mnie skończyła się kampania wrześniowa, wkrótce potem dla wszystkich Polaków. Nie skończyła się jednak wojna, nie było kapitulacji narodu przed okupantem.

Wkraczałem w wojnę nieświadom, jak większość zresztą, że potrwa ona 2067 dni i pochłonie 32 miliony ofiar. Wsłuchując się w opowieści dziadka o pierwszej wojnie światowej wyobrażałem sobie, że najgroźniejsze są ataki gazowe, reszta jest tylko pasjonującym bohaterstwem. Jakże złudne mogą być opowieści zasłyszane w dzieciństwie!

Nie byłem w wojsku, ani w obozie koncentracyjnym, a więc nie przeżyłem najgorszego. Degradacja narodowa i społeczna, strach i bieda towarzyszyły większości Polaków. Najsmutniejsze były dla mnie skutki wojny – nagłe osierocenie i osadzenie w domu dziecka, nadrabianie zaległości w nauce i sterowanie sobą w trudnych latach powojennych. Każdy Polak ma katalog osobistych przeżyć i wspomnień, który przechowuje dla siebie jako poświadczenie utraconej cząstki życia dojrzałego lub dzieciństwa. W miarę upływu czasu bledną kartki katalogu, stają się one coraz bardziej intymne. Okropności wojny i okupacji łagodzi też myśl o ludziach, którzy w beznadziejnych zdawałoby się sytuacjach wyciągali pomocną dłoń. Można by spisać księgę o tych ludziach dobrej woli i wielkiego serca, ale oni z reguły tego nie pragną. Uważają, że spełnili tylko swój obowiązek.

Pokolenie, które przeżyło wojnę, patrzy na nią przez pryzmat własnych doświadczeń. Ci, którzy poddani zostali najcięższej próbie i stracili wszystko, co było im najdroższe, nie potrafią się oderwać od swoich przeżyć i przekazują je młodszym ku pamięci i przestrodze. Chcą, aby młodzi przeżywali przeszłość tak jak oni – mundurowi lub cywilni weterani wojny, więźniowie obozów koncentracyjnych i lochów gestapo, by bohaterstwo i martyrologia zajęły w umysłach i odczuciach młodych poczesne miejsce.

Każdy uczestnik wydarzeń wojenno-okupacyjnych zachował w pamięci bardzo osobisty, indywidualny ślad swoich przeżyć, od których uwolnić się nie sposób, ale i nie sposób przeszczepić ich do świadomości pokolenia nie uczestniczącego w wojnie. Nawet najbardziej wierne przekazy nie oddadzą obiektywnej prawdy o przeżyciach osobistych, które każdy inaczej wartościuje. Najbardziej utrwaliło się w pamięci cierpienie i bohaterstwo, a więc skrajne skutki wojny i okupacji. To zrozumiałe, chociaż eksponowanie głównie tych skutków nie sprzyja wychowywaniu społeczeństwa w warunkach pokoju.

Pokolenie powojenne pozostaje pod naporem informacji o martyrologii i bohaterstwie, wobec których staje bezradne i niekiedy znużone, zwłaszcza że znacznie mniej dowiaduje się o wojnach w ogóle – czym są one w swojej istocie, skąd się biorą, czy i w jakich granicach są one zbrojną kontynuacją polityki lub jej skutkiem. Wojny widziane przez szkiełko osobistych doznań ograniczają pole rozpoznania ich celów w skali powszechnodziejowej, to zaś prowadzi do nierozumienia istoty wojen i ich wielowarstwowych konsekwencji. Powiedzmy otwarcie: natłok wspomnień i opracowań o tej „najstraszniejszej z wojen" w krańcowych ujęciach, nadmiernie wypełnia naszą narodową biografię, do tego stopnia, że wbrew intencjom zaciera granice między czynami zamierzonymi i spełnionymi, między prawdą i legendą. Stąd już tylko krok do nieufności.

Zapomnieć nie można ani indywidualnie, ani zbiorowo. Pamiętać jednak wypada, że prawdziwe bohaterstwo, wypływające z najszlachetniejszych pobudek patriotycznych, jest z reguły ciche, indywidualne, jakby zakodowane w samotni ludzkiego „ja". Nigdy nie wiadomo, jaka sytuacja wyzwoli w człowieku odczucie patriotyczne i skłoni go do poświęcenia się ojczyźnie. Nie każdy też miał okazję, żeby się poświęcić. Jedni byli na wolności i mogli, jeśli chcieli, walczyć z okupantem, inni – zamknięci w oflagach, stalagach i obozach koncentracyjnych – tej możliwości nie mieli. W każdym bądź razie – jak pisze prof. dr Franciszek Ryszka – „własne doświadczenia i tradycje nie powinny nam przesłaniać centralnych problemów historii powszechnej". Żeby nie zgubić perspektywy wnioskowania z historii dla budowania przyszłości bez wojen. Bo kto ma pewność, że ostatnia wojna była wojną o s t a t e c z n ą?

Pokolenie mojego ojca nie przypuszczało, że przeżyje jedną wojnę, aby umrzeć w drugiej. Było to pokolenie, które w siedemnastym roku życia rozbrajało niemieckich żołnierzy, w osiemnastym roku wstępowało ochotniczo do wojska polskiego i w jego szeregach obejmowało we władanie Niepodległą. Ci młodzi ludzie, którzy przed sześćdziesięciu laty upajali się wolnością, umieli tę wolność cenić. W latach międzywojennych, unoszeni wzniosłymi hasłami, pracowali dla kraju najlepiej, niepomni krzywd wypływających z charakteru ustroju. Nie tworzyli wielkiej polityki – nie wspominam o tych na państwowym szczycie – ale jakże często wspierali ją w przekonaniu, że czynią dobrze dla kraju. Niepodległa Polska była dla nich ideą nadrzędną.

Gdy jednak w Niemczech zwyciężył faszyzm, niepokój ogarnął niedawnych niepodległościowców. Zwierali się w patriotycznych organizacjach, jak Polski Związek Zachodni, by jednoczyć społeczeństwo w antyniemieckim froncie obronnym. Mówili, zapewniali nawet, że wojny nie będzie, a jeśli do niej dojdzie, to się nie damy. I wątpili w to, o czym mówili, więc działali inaczej. To pokolenie, trochę łatwowierne, w 1939 roku zasiliło pierwsze szeregi frontowe, organizowało samoobronę narodową, pociągało za sobą młodszych i w pierwszych miesiącach okupacji umierało w wieku niespełna 40 lat. Legli, tutaj na północy jako pierwsi, w masowych grobach w Piaśnicy i Szpęgawsku, ginęli pojedynczo w lasach, w obozach koncentracyjnych i więzieniach gestapo. Należeli do inteligencji wykształconej w latach międzywojennych, do grona świadomych działaczy z różnych klas społecznych, oddanych Polsce bez reszty. Okupant wiedział, że byli dla niego niebezpieczni, więc natychmiast skazał ich na śmierć.

Po wojnie scalały się przetrzebione rodziny. Odkrywano zbrodnie. Jeździłem wtedy do Piaśnicy, gdzie ekshumowano pomordowanych – było ich około 12 tysięcy – z nadzieją odnalezienia ojca. Widziałem tam zwłoki tych, którzy nauczali mnie w szkole podstawowej, przyjaciół i współpracowników ojca; jego samego odnaleziono później, po roku dopiero, w samotnej mogile w lesie z siedmioma kulami w plecach.

Nie wiemy dokładnie, ilu obywateli polskich zginęło w ostatniej wojnie. Na pewno ponad 6 milionów, z tego tylko 10 procent poległo na frontach. A zatem na każdy 1000 obywateli polskich, zginęło 220. Żadna z poprzednich wojen – religijnych, narodowych i narodowowyzwoleńczych – okrucieństwem i ilością ofiar nie dorównała ostatniej, która była p i e r w s z ą wojną w pełni światową, chociaż nie pierwszą imperialistyczną. Toczyła się w Europie, Afryce i Azji, uczestniczyła w niej Ameryka. Prowadzona totalnie za pomocą wymyślnych środków technicznych do niszczenia – nie daje się porównać z żadną wojną wcześniejszą. Nigdy nie ginęło codziennie aż 10 000 ludzi.

Wysoka jest cena, jaką w naszym stuleciu trzeba płacić za obronę niepodległości. Narody, które cenią ją wysoko, zastanawiają się więc nieustannie, co czynić mają, aby wojny przeszły do annałów historii.

Po pierwszej wojnie światowej powołano Ligę Narodów jako gwarantkę pokoju i bezpieczeństwa na świecie. Wiemy, że pokoju ona nie zagwarantowała. Po drugiej wojnie światowej powołano Organizację Narodów Zjednoczonych z tym samym zadaniem utrzymania pokoju. Międzynarodowe organizacje mogą w tej zasadniczej dla ludzi sprawie uczynić wiele, ale nie są wszechmocne. Dowodzi tego ponad 100 wojen w różnych częściach świata po 1945 roku, z których kilka groziło konfliktem międzynarodowym.

Wiele do powiedzenia ma szeroko rozwinięty społeczny ruch obrońców pokoju, którego jednym z wielkich i znaczących przedsięwzięć był zorganizowany w 1948 roku Światowy Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju we Wrocławiu. Nie zamierzano wtedy i nie można było niczego przesądzić w tych niespokojnych latach, wyrażono jednak nadzieję, że intelektualiści mogą – jak pisał prof. dr Józef Chałasiński – „wzmocnić mądrość rządzącą światem". Mówiono słusznie, że wojny nabrały charakteru społeczno-wyzwoleńczego (toczyła się wówczas wojna w Wietnamie) i w związku z tym w przeobrażeniach powojennych nie tylko Europy jednoczyć się będą idee narodu, socjalizmu i pokoju. Przyszłość należy do narodów o przekształconej strukturze społecznej, ale wszystkie narody chcą żyć w pokoju i mają do tego pełne prawo.

Wrzesień – miesiąc pamięci narodowej – pobudza do zróżnicowanych refleksji. Zaduma nad niedawną przeszłością niech nam nie przesłania jednak perspektywy przyszłości, za którą jesteśmy odpowiedzialni. Bez cierpień i wojennego bohaterstwa. Normalnej, ludzkiej.

Tadeusz Pomorski

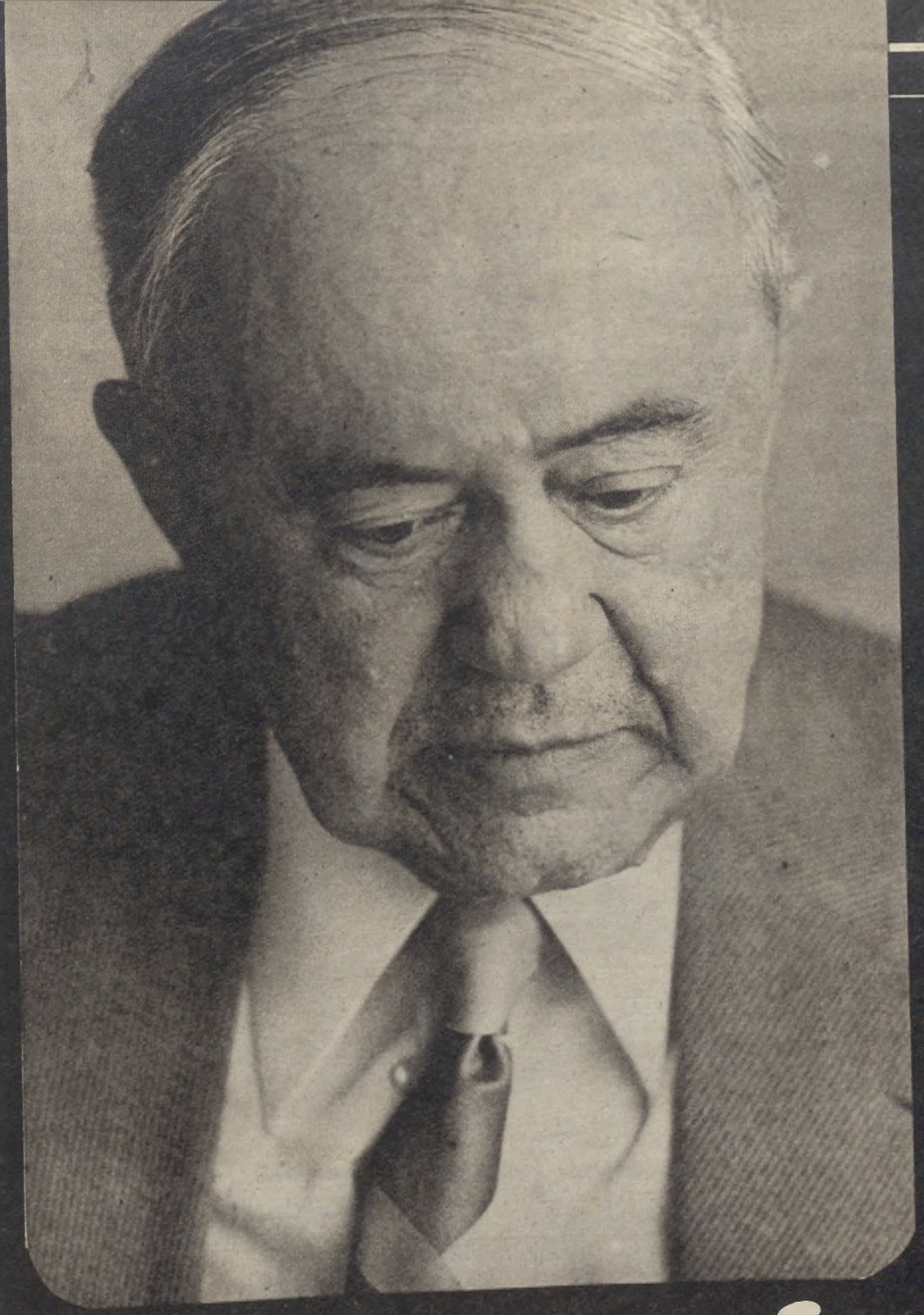

Fot. RYSZARD WESOŁOWSKI

rozmowa „Czasu"

Zespół kilkudziesięciu historyków przygotowuje wielką, zamierzoną na 5 tomów, syntezę dziejów dyplomacji polskiej. Tom I obejmuje monarchię piastowską i jagiellońską (do 1572 roku), tom II – okres monarchii elekcyjnej (1572–1795), tom III – okres rozbiorów (1795–1918), tom IV – Rzeczpospolitą Polską burżuazyjną (1918–1944) i tom V – współczesność. Redaktorem całości jest prof. dr Gerard Labuda. Tom III zredagował prof. dr Ludwik Bazylow, który udzielił „Czasowi" wywiadu na temat syntezy i dyplomacji polskiej w okresie rozbiorów. Ludwik Bazylow jest profesorem zwyczajnym Uniwersytetu Warszawskiego, kierownikiem Zakładu Historii Słowiańszczyzny i ZSRR w tym uniwersytecie oraz dyrektorem Instytutu Krajów Socjalistycznych Polskiej Akademii Nauk. Za wybitne osiągnięcia w badaniu dziejów Rosji, Uniwersytet Moskiewski nadał mu tytuł doktora honoris causa. Prof. Bazylow należy do najwybitniejszych historyków polskich. Zajmuje się problematyką węgierską (XV–XVII w.), i polską (XIX w.), przede wszystkim jednak historią Rosji XIX i XX wieku. Jest autorem kilkunastu znakomitych książek, jak „Siedmiogród a Polska 1576–1613", „Historia Rosji", „Dzieje Rosji 1801–1917", „Ostatnie lata Rosji carskiej. Rządy Stołypina", „Społeczeństwo rosyjskie w pierwszej połowie XIX wieku", „Obalenie caratu".

Dyplomacja bez państwa

Z prof. dr. LUDWIKIEM BAZYLOWEM
rozmawia Tadeusz Bolduan

– Pan profesor jest współredaktorem i współautorem „Historii dyplomacji polskiej", opracowywanej pod auspicjami ministra spraw zagranicznych. Będzie to pionierska praca na gruncie polskim, której pierwszy tom otrzymamy już w bieżącym roku. Jaki jest cel tego wielkiego przedsięwzięcia zespołu badaczy?

Najogólniej celem zespołu przygotowującego „Historię dyplomacji polskiej" jest odsłonięcie przeszłości i spłacenie długu wobec historiografii, gdyż nie dopracowaliśmy się dotąd syntezy całości dziejów polskiej dyplomacji. Ale nie tylko ten cel nam przyświecał - synteza powinna służyć lepszemu poznaniu dziejów politycznych państwa polskiego, kształto-

CIĄG DALSZY NA STR. 6

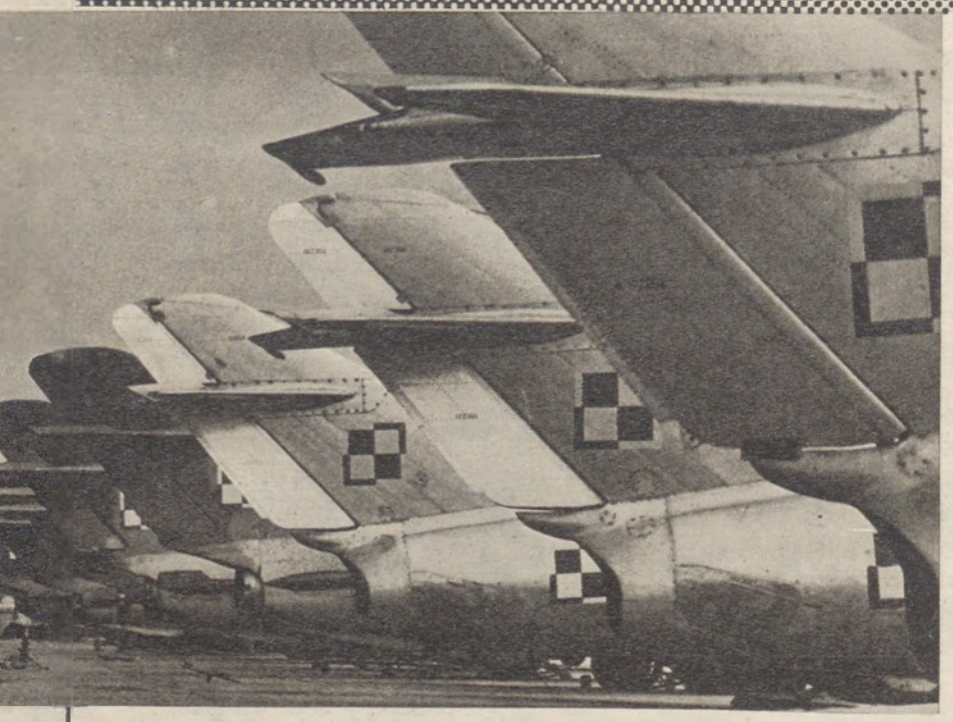

Skrzydła nad Bałtykiem

W 1945 roku dowództwo Marynarki Wojennej podjęło pierwsze kroki dla powołania lotnictwa morskiego jako niezbędnego elementu sił obrony wybrzeża. Po zakończeniu prac przygotowawczych, 18 października 1948 roku nastąpiło uroczyste włączenie lotniczej jednostki bojowej w skład sił Marynarki Wojennej.

W ciągu 30 lat nasze lotnictwo morskie uległo całkowitemu przeobrażeniu. Zostało wyposażone w nowoczesny sprzęt, w taki – jaki posiadają przodujące technicznie armie świata. Było to możliwe między innymi dzięki wszechstronnej pomocy Związku Radzieckiego. Radzieccy instruktorzy przeszkolili naszych pilotów, oficerów sztabowych, personel techniczny oraz personel zabezpieczenia lotów.

Przełomowe znaczenie dla rozwoju naszego lotnictwa morskiego miało przejście w latach pięćdziesiątych na technikę odrzutową, co pociągnęło za sobą zasadnicze zmiany w dziedzinie organizacji i w metodach szkolenia.

O wysokich kwalifikacjach naszych lotników morskich świadczą sukcesy, jakie osiągają oni w ćwiczeniach bojowych i zawodach lotniczych. Na dwu ostatnich Centralnych Taktyczno-Bojowych Zawodach Rozpoznania Powietrznego Lotnictwa Sił Zbrojnych lotnicy morscy na 6 możliwych do zdobycia pucharów zdobyli kolejno po 4 w konkurencjach zespołowych. Zajęli również czołowe miejsca w konkurencjach indywidualnych. Ten wysoki kunszt pilotów morskich potwierdza uznanie, z jakim spotykają się oni za bezbłędne wykonanie zadań w ramach ćwiczeń Układu Warszawskiego oraz ćwiczeń Marynarki Wojennej.

Zdjęcia: Stanisław Ossowski

Obiektywem

Z Wybrzeża

● W Oslo zakończyła się „Operacja Żagiel 78". Załoga gdyńskiego jachtu „Tornado" zdobyła nagrodę ufundowaną przez króla Szwedów Karola XVI Gustawa dla najszybszej jednostki regat. Dowodził nią kpt. Tadeusz Siwiec.

● W Szczecinie trwa „Jarmark Jagielloński", największa handlowa impreza w tym mieście.

● W gdyńskiej stoczni remontowej „Nauta" w ciągu 6 zaledwie dni dokonano operacji przedłużenia norweskiego statku. Jednostka mająca przedtem 47 metrów długości jest obecnie o 12 metrów dłuższa.

● W wyniku pożaru, jaki wybuchł na statku budowanym w gdyńskiej Stoczni im. Komuny Paryskiej poniosło śmierć trzech zatrudnionych tam pracowników, a kilku innych doznało zatrucia gazami.

● Na przybrzeżnych wodach NRD zauważono 10-metrowego wieloryba. Poprzednio został on dostrzeżony koło Szwecji, gdzie wpadł w rybackie sieci, a uwalniając się z nich skaleczył sobie płetwę ogonową.

● Zespół polskich okrętów wojennych: niszczyciel „Warszawa", okręt podwodny „Sokół", trałowiec i ścigacz zakończył 4-dniową wizytę kurtuazyjną w Szwecji i powrócił do Gdyni.

● Dług budowlanych u mieszkańców województwa słupskiego za lata 1976-1978 wynosi 882 mieszkania i ponad osiem tysięcy metrów kw. powierzchni handlowo-usługowej.

● Ze Stoczni Północnej im. Bohaterów Westerplatte wypłynął w swój pierwszy rejs na Atlantyk supertrawler z serii B-400 – mt. „Sprut" – uważany za największy na świecie samodzielny statek łowczy. Przystosowany jest do połowów ryb na dużych głębokościach. Większość urządzeń zainstalowanych na tej jednostce to prototypy wykonane w kraju.

Z kraju i ze świata

● W Łodzi, Piotrkowie Trybunalskim i Sieradzu obchodzono święto „Trybuny Ludu". W dyskusjach i spotkaniach redakcyjnych, festynach, imprezach artystycznych i sportowych uczestniczyły dziesiątki tysięcy osób.

● W Genewie obradowała światowa konferencja w sprawie walki przeciwko rasizmowi i dyskryminacji rasowej. Omawiano sposoby eliminacji wszelkich form rasizmu.

● W Afganistanie udaremniono zamach stanu. Aresztowany został minister obrony, Abdul Kadir – jeden z głównych organizatorów powstania kwietniowego, które zapoczątkowało demokratyczne przeobrażenia tego kraju.

● W Nysie wyprodukowano turystyczną wersję popularnego samochodu dostawczego. Mikrobus zapewnia wygodną jazdę 6 osobom oraz nocleg 4 pasażerom. Wyposażony jest w szafę, rozkładane kanapy, kuchenkę gazową i zbiornik na czystą wodę. Podnoszony dach umożliwia poruszanie się wewnątrz w pozycji stojącej.

● Dwaj terroryści chorwaccy Bozo Kelawa i Mile Kodzoman dokonali zamachu na konsulat RFN w Chicago. Pragnęli oni zapobiec wydaniu przez RFN Stjepana Bilandzica władzom jugosłowiańskim. Obaj zamachowcy (na zdjęciu) po kilkunastu godzinach oddali się w ręce policji amerykańskiej.

● Jest nadzieja, że pozbycie się z domu starego tapczanu, pralki, szafy itp. przestanie być problemem. W łódzkich zakładach WUKO skonstruowano śmieciarkę-zgniatacz, która radzi sobie doskonale z takimi wielogabarytowymi śmieciami.

● Prezydent Sadat nie znalazł dla siebie miejsca w żadnej z istniejących w Egipcie partii politycznych. Utworzył więc Narodową Partię Demokratyczną, której bazą jest rodzima burżuazja.

● W Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Mielcu uruchomiono produkcję nowego samolotu wielozadaniowego, który będzie wytwarzany we współpracy z amerykańską firmą „Piper". Będzie to niewielki, bardzo ekonomiczny samolot, mogący zabierać 6 osób.

● W Łodzi kończy się budowę kolejowej stacji kontenerowej Olechów. Zmontowano już dwie suwnice o udźwigu 32 tony każda. Brak takich stacji skutecznie utrudnia rozwój konteneryzacji w naszym kraju.

● W Chinach rozpoczęto kampanię kontrolowania liczby urodzeń. Rządowa komisja do spraw planowania rodziny ustaliła że roczna stopa przyrostu naturalnego w ciągu trzech lat nie może przekroczyć 1 proc.

● Trzej Amerykanie: Ben Abbruzzo, Max Anderson i Larry Newman są pierwszymi ludźmi, którzy przelecieli w gondoli balonu nad Oceanem Atlantyckim z USA do Francji.

Po wakacjach

W szkołach rozpoczęły się zajęcia. Naukę podjęło 4,3 miliona dzieci i młodzieży. Z tego 540 tysięcy po raz pierwszy. Najmłodsi będą się uczyć według nowego programu szkoły 10-letniej. Nasze szkolnictwo nie narzekało dotąd na brak reform i reorganizacji, ale ta jest bezprecedensowa jeśli chodzi o zasięg. Ideą przyświecającą reformie jest stworzenie każdemu uczniowi takich warunków, które pozwoliłyby mu na osiągnięcie możliwie najlepszych rezultatów. Największy nacisk położono w nowym programie na nauczanie języka polskiego i matematyki, przy czym zwłaszcza ta ostatnia mało będzie przypominać to, co od lat aplikowano „pierwszakom". Więcej uwagi poświęcać się będzie wychowaniu muzycznemu, plastycznemu i fizycznemu, a więc tym dziedzinom, które pełniej pozwalają kształtować osobowość młodego człowieka.

W przeciwieństwie do nowości programowych w szkołach, tradycyjne pozostały kłopoty z remontami szkół i z zaopatrzeniem uczniów w niezbędny im „rynsztunek".

Sonda

Barbara Nowara z Katowic:
– Każdorazowy urlop to duży uszczerbek w moim domowym budżecie. W tym roku przebywałam w Sopocie prywatnie około trzy tygodnie. Ta przyjemność kosztowała mnie ponad 4,5 tys. zł. Utrzymanie w miejscowości letniskowej jest dość kosztowne, ale najdroższe jest zakwaterowanie.

Elżbieta Tatar z Tarnowa:
– Niedużo, bo przyjechałam do rodziny nad morze. Mieszkanie mam za darmo, do utrzymania tylko dokładam, a pieniądze przeznaczam na drobne przyjemności. Jestem tu z dziećmi już dwa tygodnie. W sumie wydałam tyle, ile wydałabym w domu.

Ile kosztował urlop?

Genowefa Motyka z Brwinowa:
Absolutnie nic, albowiem po miesięcznej udręce z wnuczkiem przyjechałam na zasłużony odpoczynek do córki. Do 3 września będę więc na jej wikcie i opierunku. Tak spędzam urlop co roku. A dziś mam właśnie pierwszą w tym roku niedzielę wolną od garnków.

Władysław Roszkowski z Radomia:
– Niewiele, bo jestem wraz z żoną na wczasach u kuzynki mieszkającej w Sopocie. Przebywam tu już drugi miesiąc. Mieszkanie nas nie kosztuje nic, a na utrzymanie wydajemy tyle samo, co w Radomiu. Ten rodzaj wypoczynku – u kochanych krewnych – jest oczywiście najtańszy.

Alicja Macowa z Jasła:
– Jesteśmy w Sopocie na wczasach. Dwutygodniowy pobyt kosztuje mnie i męża całomiesięczne pobory. Dodatkowe koszty związane z różnego rodzaju przyjemnościami wyniosą – licząc skromnie – po około 3 tys. złotych na głowę.

Piotr Olszewski z Łodzi
Jestem z żoną na wczasach w Ośrodku Transportowców w Sobieszewie. Za 14-dniowy pobyt zapłaciliśmy 1750 zł. Niby niewiele, lecz fatalne żywienie stołówkowe zmusza nas do jadania w barach i restauracjach. I tak w ciągu ośmiu dni wydaliśmy około 4 tys. złotych. Sądzę, że czasami urlop za granicą bywa niewiele droższy od urlopu w kraju.

Chiny – Japonia

Klauzula uległości

MARIUSZ DASTYCH

Podpisując 12 sierpnia br. w Pekinie „Traktat o pokoju i przyjaźni" z Chińską Republiką Ludową, rząd premiera Takeo Fukudy jednoznacznie przekreślił własną zasadę polityki „równego dystansu" wobec dwóch wielkich sąsiadów Japonii: Związku Radzieckiego i Chin. Konsekwencje tego kroku nie mogą budzić entuzjazmu w Azji Południowo-Wschodniej, ani też wśród samych Japończyków, którzy pragnęliby zachować dobre stosunki z oboma mocarstwami, na zasadach wzajemnych korzyści.

Tymczasem treść układu „o pokoju i przyjaźni" nosi na sobie wyraźne piętno chińskiego dyktatu. Bowiem wbrew własnej linii politycznej, rząd Japonii zaakceptował tzw. klauzulę antyhegemonistyczną, która – w opinii większości obserwatorów politycznych – jest skierowana przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Ta chińska klauzula stanowi artykuł drugi traktatu i brzmi następująco:

„Obaj sygnatariusze nie będą dążyć do zdobycia hegemonii w rejonie Azji – Pacyfiku, jak też w jakimkolwiek innym rejonie świata. Wyrażają także swój sprzeciw wobec podejmowania przez jakikolwiek kraj lub grupę krajów prób ustanowienia takiej hegemonii".

Na pierwszy rzut oka treść klauzuli jest bardzo ogólnikowa i nie wymienia jakiegokolwiek kraju z nazwy. Ale rzecz w tym, iż w żargonie politycznym Pekinu „mocarstwem hegemonistycznym" nazywany jest Związek Radziecki, a oficjalna propaganda chińska umieszczenie „klauzuli antyhegemonistycznej" w treści układu z Japonią określa jako „najważniejsze osiągnięcie".

Na długo przed podpisaniem chińsko-japońskiego traktatu, rząd ZSRR ostrzegał Japonię przed konsekwencjami, jakie może mieć dla niej podpisanie dokumentu na warunkach chińskich. Reakcje radzieckie na umieszczenie „klauzuli antyhegemonistycznej" w treści układu były jednoznaczne. Komentarz „Izwiestii" (z 14.8.) stwierdza: „Tokio zadeklarowało solidarność z posunięciami politycznymi kierownictwa Chin, które są wrogie wobec ZSRR". Rozszyfrowanie chińskiego manewru przyszło również bez trudu burżuazyjnej prasie zachodniej. Gazety i agencje pisały o „istotnej zmianie strategicznej równowagi w Azji" (Reuter), „sukcesie dyplomatycznym Pekinu" (Le Figaro), o „innej Azji" (Le Monde). Zaakceptowanie „klauzuli antyhegemonistycznej" przez Tokio zostało przyjęte z aplauzem w Waszyngtonie i antyradzieckiej wymowy dokumentu nie zdołał złagodzić wprowadzony do „Traktatu o pokoju i przyjaźni" artykuł czwarty stanowiący, że: „traktat ten nie powinien wpływać na stosunki jego sygnatariuszy z krajami trzecimi".

Koń trojański Pekinu

Japonia zdecydowała się nawiązać stosunki dyplomatyczne z Chińską Republiką Ludową dopiero w roku 1972, ale nie podpisała z Chinami traktatu pokojowego. Rozmowy na temat traktatu, który kończyłby formalnie stan wojenny między oboma krajami, rozpoczęły się w listopadzie 1974 roku i wkrótce potem zostały odroczone. Powodem była właśnie rzeczona „klauzula antyhegemonistyczna", której przyjęcia żądał Pekin. Japonia początkowo w ogóle odrzucała tę formułę, ale koła oficjalne Tokio stopniowo modyfikowały swoje „nie". Kompromisowa formuła, przedstawiona w roku 1975, wyrażała zgodę Japonii na klauzulę chińską, ale pod pewnymi warunkami. Tzw. cztery punkty Miyazawy (ówczesny japoński minister spraw zagranicznych) ograniczały znaczenie „klauzuli antyhegemonistycznej". Tokio skłaniało się do przyjęcia tej klauzuli w przyszłym traktacie, pod warunkiem że: 1) nie będzie ona skierowana przeciwko określonemu krajowi lub krajom, 2) nie będzie oznaczała żadnej wspólnej akcji Tokio i Pekinu, 3) stosowanie klauzuli nie będzie ograniczone do Azji i Pacyfiku i wreszcie 4) klauzula ta będzie zgodna z Kartą Narodów Zjednoczonych. Odpowiedź Pekinu na propozycje Miyazawy była negatywna. Pod koniec 1975 roku rozmowy znalazły się więc w impasie, a Chiny po zawieszeniu rokowań przyjęły taktykę cierpliwego oczekiwania... na moment, w którym Japonia odstąpi od własnych zasad. Okoliczności, które doprowadziły do wznowienia rokowań 21 lipca br., po prawie trzech latach, są bardzo interesujące. Na początku stycznia br. udaje się do Moskwy minister spraw zagranicznych w rządzie premiera Fukudy – Sunao Sonoda. Prowadzi rozmowy na temat zawarcia traktatu pokojowego z ZSRR, bowiem mimo 21-letniej historii stosunków dyplomatycznych po ostatniej wojnie, traktatu pokojowego ze Związkiem Radzieckim Japonia dotąd nie podpisała (podobnie jak nie podpisała go z Chinami). Rozmowy Sonody kończą się jednak fiaskiem: głównie dlatego, że Tokio wysuwa pod adresem ZSRR roszczenia terytorialne do Wysp Kurylskich. Rząd premiera Fukudy nie wykazuje również spodziewanego zainteresowania dalszą intensyfikacją stosunków gospodarczych z ZSRR, wyraźnie preferując handel i współpracę z Chinami.

Pekin z aplauzem powitał wznowienie przez Japonię roszczeń terytorialnych wobec Związku Radzieckiego. Ale już w kwietniu Chiny prowokują incydent wokół japońskich wysp Senkaku, wysuwając brutalnie roszczenia do tego terytorium. Równocześnie nasila się chińska kampania oszczerstw przeciwko Wietnamowi, która ujawnia hegemonistyczne dążenia i wrogie zamiary Chin wobec mniejszych krajów Azji.

Mimo to, stosunki japońsko-chińskie rozwijają się bardzo pomyślnie. 16 lutego zostaje podpisany 8-letni układ handlowy między Japonią a ChRL, który stanowi prawdziwy przełom. Jego wartość ocenia się na 20 miliardów dolarów. 21 lipca br. zostają nieoczekiwanie wznowione japońsko-chińskie rokowania na temat traktatu pokojowego. Ich tempo jest rekordowe: już 12 sierpnia „Traktat o pokoju i przyjaźni" zostaje podpisany. Rząd japoński przyjmuje chińskie warunki – „klauzulę antyhegemonistyczną", która w powszechnym mniemaniu jest koniem trojańskim chińskiej dyplomacji.

Presja Waszyngtonu

Kolejne rządy japońskie nie mogły (i chyba nie chciały) podejmować decyzji pod naciskiem Pekinu. Również rząd premiera Fukudy wahał się przed przyjęciem „klauzuli antyhegemonistycznej". Dlaczego więc Japonia zgodziła się tak szybko na traktat z chińską formułą?

Decyzję premiera Fukudy wiąże się często z jego majową wizytą w Waszyngtonie i rozmowami, jakie przeprowadził wtedy z prezydentem Carterem. Ale jeszcze częściej – z wizytą, którą złożył pod koniec maja br. w Pekinie i Tokio doradca prezydenta USA do spraw bezpieczeństwa narodowego Zbigniew Brzeziński. Jak pisał „Time", Brzeziński miał oświadczyć rozmówcom w Tokio (po swym pobycie w Chinach), iż rząd prezydenta Cartera powitałby z zadowoleniem proponowany układ chińsko-japoński, nawet gdyby dokument ten zawierał „klauzulę antyhegemonistyczną", której wprowadzenia domaga się Pekin. Rola USA w doprowadzeniu do podpisania traktatu chińsko-japońskiego nie uszła uwagi prasy japońskiej.

11 lipca – a więc przed wznowieniem rokowań w Pekinie – „The Japan Economic Journal" pisał analizując twarde stanowisko Chin w kwestii „klauzuli antyhegemonistycznej",

CIĄG DALSZY NA STR. 20

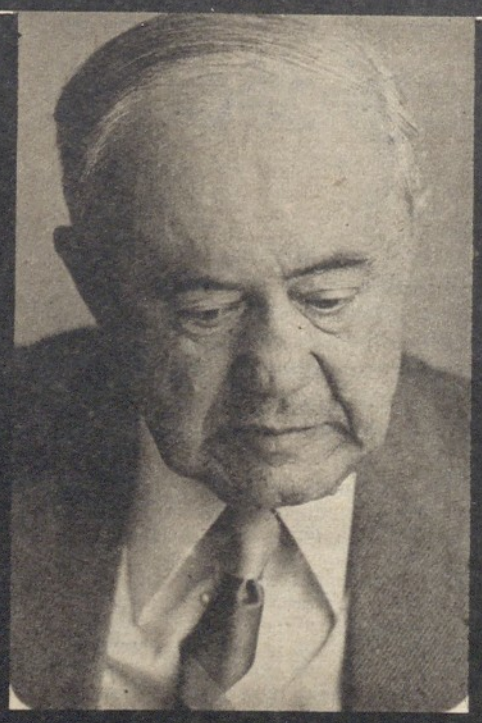

Dyplomacja bez państwa

waniu świadomości historycznej społeczeństwa, a w ręku dyplomatów-praktyków może się przyczynić do poszerzania kręgu ich działań i myśli. Dlatego synteza została zbudowana w ten sposób, że zawiera materiał badawczo-poznawczy, emocjonalny i pragmatyczno-dydaktyczny.

– Skoro synteza służyć ma lepszemu poznaniu dziejów politycznych, to nasuwa się refleksja, że możemy otrzymać wykładnię tych dziejów, a nie dyplomacji w rozumieniu instytucji oraz działań i umiejętności wyspecjalizowanych zespołów ludzi.

– Problemów metodologicznych mieliśmy do rozwiązania co niemiara. Zrozumiałe przecież, że tam, gdzie się rodzi coś nowego – a jest to pierwsza historia dyplomacji polskiej – wyłaniają się pewne trudności. I my je mieliśmy. Wyszliśmy jednak z założenia, że przedstawimy działalność służb dyplomatycznych na tle dziejów politycznych. Może to się nam nie udało w pełni, myślę jednak, że obawy pana są przedwczesne. Prof. dr Gerard Labuda we wstępie do syntezy wyraźnie podkreślił: „...historia dyplomacji przedstawia się nam jako historia określonej instytucji, realizującej politykę państwa w zetknięciu z ościennymi i zagranicznymi państwami lub instytucjami, za pomocą wypróbowanych, chociaż wciąż zmiennych metod postępowania, stosowanych przez wyspecjalizowany zespół ludzi powołanych do tych zadań przez odpowiednie organa władzy państwowej". Taka instytucjonalna koncepcja historii dyplomacji jest chyba najsłuszniejsza. Dyplomacja bowiem – o tym trzeba pamiętać – była i jest narzędziem polityki zagranicznej państwa.

– Czy można wyznaczyć granicę między polityką zagraniczną i dyplomacją?

– Każda działalność wymaga odpowiednich narzędzi, bez których nie można jej właściwie wykonać. Jeżeli mówimy, co jest zresztą prawdą, że lepiej orientujemy się w dziejach polskiej polityki zagranicznej, niż dyplomacji, to niedostateczną znajomość dziejów dyplomacji sprowadzić trzeba do nieznajomości instytucji i ludzi, często wybitnych, do przeobrażeń w metodach i działaniach dyplomatycznych. Jakiekolwiek rozdzielanie dyplomacji od polityki zagranicznej byłoby nieporozumieniem. We wspomnianym wstępie prof. Labuda cytuje wypowiedź radzieckiego ministra spraw zagranicznych, Andrieja Gromyki. Ona wiele wyjaśnia, warto więc ją przytoczyć: „Pojęcie polityki zagranicznej obejmuje całość działań państwa w dziedzinie spraw międzynarodowych. Dyplomacja jest organiczną częścią składową polityki zagranicznej, międzynarodowej działalności państwa. To polityka zagraniczna określa cele i zadania dyplomacji, która uruchamia całość praktycznych przedsięwzięć, a także form, środków i metod potrzebnych do zrealizowania polityki zagranicznej. Chociaż pierwsze miejsce zajmuje polityka zagraniczna, to jednak polityka zagraniczna i dyplomacja stanowią całość, których części składowych nie należy od siebie oddzielać". To jest odpowiedź na pana pytanie...

– Przyznaję, że zręczna, niemniej jednak spójne traktowanie polityki zagranicznej państwa i dyplomacji kryje w sobie pułapkę natury metodologicznej. Skoro polityka zagraniczna i dyplomacja są ściśle związane z państwem, to w jaki sposób mogą one funkcjonować w systemie bezpaństwowym? Polska, jako państwo, nie istniała 123 lata, a zatem z prawno-międzynarodowego punktu widzenia nie mogła istnieć polska polityka zagraniczna i sprzężona z nią dyplomacja. Wiemy jednak z historii, że tak nie było...

– To jest problem, nad którym zastanawialiśmy się podczas omawiania kolejnych etapów syntezy w latach 1972–1975. Państwo polskie nie istniało, Polacy jednak w swoistych formach i metodami odpowiadającymi wytworzonym warunkom kontynuowali politykę zagraniczną, a w niektórych okresach mieli nawet bardzo aktywną dyplomację. Większość autorów syntezy zgodziła się z założeniem, że po likwidacji państwa nosicielem jego instytucji pozostało społeczeństwo. Naczelny redaktor naszej syntezy, prof. Labuda, zwięźle sformułował istotę tego zagadnienia: „Społeczeństwo ma ciągły byt, natomiast państwo jest kategorią historyczną, czasowo ograniczoną i podlegającą zmianom stosownie do przeobrażeń ekonomicznych, klasowych i ideologicznych zachodzących w obrębie konkretnego społeczeństwa". Po upadku państwa wiele funkcji instytucji państwowych przejęło więc społeczeństwo dążące do odbudowy swojej państwowości. Zachowały się niektóre instytucje reprezentujące naród polski, inne stworzono od podstaw. One przejęły w pewnym stopniu funkcje instytucji państwowych. Po trzecim rozbiorze Polski, w 1795 roku zachowała się wielka własność feudalna, która tworzyła „państwa" w państwach zaborczych, zachował się samorząd stanowy, sądownictwo, Kościół, organizacje kulturalne i naukowe oraz partie polityczne. Jedne były jawne, inne tajne, różniły się programami polityczno-społecznymi i zapatrywaniami na sposób „wybicia się na niepodległość", ale łączyła je wspólna idea odbudowy instytucji państwa. To było najważniejsze.

– Poważne znaczenie miały też namiastki, albo nawet pozory autonomii w poszczególnych zaborach...

– Oczywiście, nie można pominąć znaczenia utworzonego w 1807 roku Księstwa Warszawskiego, a od 1815 roku Królestwa Kongresowego, w zaborze pruskim Wielkiego Księstwa Poznańskiego (od 1815 roku) i wreszcie w zaborze austriackim Wolnego Miasta Krakowa (1815–1846), które miało wyraźny charakter zastępczej organizacji państwowej. Od drugiej połowy XIX wieku Polacy mieli swoich przedstawicieli w parlamencie austriackim, sejmie pruskim i po 1871 roku – w Reichstagu, a od 1906 roku również w Dumie Cesarstwa Rosyjskiego. Skupiali się oni w Kołach Polskich, w których omawiano żywotne dla Polaków sprawy, nie zatracano przy tym myśli o potrzebie odbudowy państwa polskiego. Na posiedzeniach w parlamentach mówiono najczęściej o autonomii, bo o niej można było mówić, walczono o narodowe prawa Polaków, protestowano przeciw bezprawiu. Natomiast upominanie się o niepodległość Polski było niemożliwe. Ten kierunek działalności był tajny. Dlatego dyplomację polską w tych mniej lub więcej autonomicznych organizmach można określić jako półjawną.

– Legalne formy reprezentacji nie zastępowały państwa, pozwalały jednak podtrzymywać w społeczeństwie ideę państwową i sprzyjały przygotowywaniu dyplomatów, administratorów i wojskowych dla mającej się odrodzić Polski. Pobudzały dyskusje, polemiki i twórczość artystyczną. Roztrząsano zasługi dla ojczyzny, która musi powstać. Widzę w tym tylko elementy dyplomacji...

– Nie tylko. Prężność i pomysłowość Polaków musi zdumiewać. Byli oni aktywni wszędzie i w niemal każdej sytuacji, wykorzystywali możliwości, jakie sami sobie stworzyli, albo pod ich naciskiem stworzyli im – w ograniczonym zakresie – zaborcy. Organizowano służbę dyplomatyczną w okresie Powstania Listopadowego, Wiosny Ludów i Powstania Styczniowego. Rządy powstańcze były tajne lub jawne, podobnie działo się z dyplomacja. Potężną siłą była emigracja polska, która w latach 1795–1918 i potem w latach 1939–1944 miała dobrzę zorganizowane przedstawicielstwa dyplomatyczne. Wystarczy wspomnieć działalność paryskiego Hotelu Lambert – ugrupowania skupionego wokół księcia Adama Czartoryskiego. W latach 1841–1843 Hotel Lambert zorganizował w Stambule Agencję Główną, czyli swoje przedstawicielstwo dyplomatyczne dla realizacji polityki bałkańskiej, jako ważnego elementu w planach odbudowy państwowości polskiej. Pomijam sprawę utopijności planów Hotelu Lambert – chcę jedynie zasygnalizować istnienie placówki dyplomatycznej i licznych agentów Czartoryskiego, wśród których najczynniejszym był Michał Czajkowski – Sadyk Pasza. Warto przy tej sposobności przypomnieć, że w polityce bałkańskiej obóz Czartoryskiego podjął próby oparcia się nie tylko na rządach, ale i na ludach bałkańskich, co było zjawiskiem nowym w przypadku ugrupowania konserwatywnego.

– Zastanawiam się właśnie, czy Polacy uprawiali dyplomację w kraju i na emigracji w całym okresie rozbiorowym, czy też występowały przerwy w ich poczynaniach?

– Historiografia polska ustaliła już dawno, że do 1871 roku, a nawet do roku 1875 mieliśmy ciągłość dyplomatycznych zabiegów zmierzających do odbudowy państwowości polskiej. To się działo w różnych ugrupowaniach politycznych, ze zmiennym natężeniem, ale się działo. Potem mamy mniej więcej dziesięcioletnią przerwę i w latach osiemdziesiątych XIX wieku znowu ożywienie. Sprawa polska ważyła na polityce zaborców przez cały okres niewoli, o czym Polacy doskonale wiedzieli i wykorzystywali ten fakt mniej lub więcej umiejętnie. Krótki okres stagnacji dyplomatycznej niczego w tym nie zmienił.

– Dyplomacja polska okresu rozbiorów znajdowała się w wyjątkowo trudnej sytuacji, bo miała przeciwników silnych i dobrze zorganizowanych...

– Przede wszystkim nie należy zapominać, że w Europie było więcej narodów walczących o swoją wolność, ale one miały z reguły jednego wroga głównego. Polska natomiast miała trzech wrogów w postaci najpotężniejszych państw na kontynencie. Węgrzy, Grecy czy Rumunii mogli liczyć na pomoc jednego z mocarstw, jeżeli leżałaby ona w jego interesie, sprawę polską natomiast eliminował na forum międzynarodowym sojusz trzech zaborców zainteresowanych w utrzymaniu status quo, mimo że stabilizował on hegemonię Niemiec.

– Poza tym nie mieliśmy dyplomatów tej miary, co Klemens Metternich, Charles Talleyrand i Otto von Bismarck.

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

– To prawda, tylko że tacy dyplomaci mogli się pojawić wyłącznie w państwach silnych i niepodległych. Cenię też wysoko dyplomację rosyjską, jej reprezentantów w osobie na przykład Sergiusza Wittego. Dyplomacja rosyjska musiała rozgryzać niezwykle trudne sprawy olbrzymiego imperium o specyficznej strukturze społecznej i ostrych przeciwieństwach klasowych. Rosja, która od drugiej połowy XVIII wieku stała u szczytu potęgi politycznej i wojskowej, musiała uważnie śledzić rozwój wydarzeń w świecie i zazdrośnie strzec swoich interesów w Europie i Azji. Mimo poważniejszych potknięć dyplomacji rosyjskiej, w drugiej połowie XIX wieku, właśnie ona współokreślała obraz polityczny nie tylko Europy.

– Świetnym, jeśli nie najwybitniejszym dyplomatą europejskim w tym czasie był Otto von Bismarck, który w naszej pamięci utrwalił się przede wszystkim jako wróg Polski i Polaków, autor brutalnych metod germanizacji (ausrotten – wytępić!). Swoją zręczną dyplomacją stworzył on właściwie Rzeszę Niemiecką.

– Bismarcka, jako polityka i dyplomatę cenię wyżej od Metternicha i wielu ówczesnych czołowych dyplomatów. Celem dyplomacji prusko-niemieckiej i angielskiej było zbudowanie systemu międzynarodowego opartego na równowadze sił. Bismarck zdawał sobie sprawę, że uciążliwy problem polski może być rozwiązany tylko w porozumieniu z Rosją. Stąd najbardziej antypolską politykę prowadziły Prusy i Rosja. Bismarck chciał utrzymać i rozbudować potęgę Niemiec, dlatego do czasu unikał konfliktów między państwami rozbiorczymi. Wiedział, że każde nieporozumienie z nimi grozi ożywieniem sprawy polskiej. Powiedzmy wyraźnie: celem polityki Bismarcka był pokój w Europie, ale pokój w rozumieniu niemieckim, dający Niemcom korzyści, czyli pax germanica. Bismarck rozumiał lepiej od innych dyplomatów, że w stosunkach międzynarodowych nie ma układów niezmiennych. Temu rozumowaniu podporządkował swoją późniejszą politykę, która około roku 1879 zmierzała do rozluźnienia sojuszów z Rosją. Ale to się potem zemściło.

– Polityka równowagi sił w Europie nie przyniosła na dłuższą metę korzystnych wyników, mimo zabiegów dyplomatów wielkich mocarstw. Dlaczego?

– Kongres wiedeński 1815 roku miał zapewnić stabilizację głównych układów w Europie i trwałe porozumienie między mocarstwami. I rzeczywiście zapewnił, ale tylko na pewien czas. Na konferencji paryskiej po I wojnie światowej powołano, w trosce o przyszłość pokoju światowego, Ligę Narodów, która miała strzec trwałych, jak się zdawało, porozumień międzynarodowych i ogólnej stabilizacji po wyczerpującej wojnie. Dyplomaci myśleli wtedy o przyszłości, ale nie przewidzieli, że stosunkowo szybko zburzona zostanie ich wersalska konstrukcja porządku światowego. Nie przemyśleli dostatecznie wnikliwie struktury powojennego świata i stworzyli Niemcom, otoczonym teraz słabymi państwami, możliwości przygotowywania się do nowej ekspansji. Dyktując Francji pokój w 1871 roku oraz anektując Alzację i Lotaryngię, Bismarck spodziewał się trudności, nie przewidział jednak, że staną się one jedną z przyczyn niekorzystnej dla Niemiec sytuacji międzynarodowej w roku 1914. Zjednoczone Niemcy zagrażały wszystkim sąsiadom. Innymi słowy: zwyciężając Francję i jednocząc Niemcy, Bismarck jakby przebudził te siły w Europie, które chciał zniszczyć, a które po niespełna pięćdziesięciu latach obróciły się przeciwko Niemcom. W latach I wojny światowej rozgłosu nabrała sprawa polska, której ożywienia tak bardzo lękał się „żelazny kanclerz".

– Była w tym zasługa dyplomacji polskiej. Jak pan profesor ocenia naszą dyplomację okresu I wojny światowej, w tym działalność Romana Dmowskiego?

– Chociaż o Dmowskim napisano wiele, całkowitej i obiektywnej oceny jego poglądów i działalności jeszcze nie mamy. Jedno jest pewne: był w tym okresie czołowym dyplomatą, wykazującym chyba najwięcej realizmu w myśleniu i działaniu. Dmowski wiedział, podobnie jak Bismarck, że jednym z warunków istnienia zjednoczonych Niemiec jest upadek Polski i zniszczenie Polaków. Dlatego w kalkulacjach, że wojnę musi wygrać jedna strona, życzył sobie zwycięstwa Rosji, gdyż w ten sposób cała Polska znalazłaby się pod jednym panowaniem. Zresztą na Rosję orientowali się narodowi demokraci, których Dmowski był wybitnym przedstawicielem. Ale i on ulegał okresowo złudzeniom w stosunku do Niemiec, nie przewidział też – trudno było wtedy przewidzieć – że w Rosji wybuchnie i zwycięży rewolucja socjalistyczna. Dmowski najaktywniej zabiegał o korzystne granice odrodzonej Polski na zachodzie i północy. W tym dziele był niezmordowany.

– A rola dyplomacji polskiej w ogóle?

– Dyplomacja polska okresu rozbiorów, podtrzymująca sprawę polską na arenie międzynarodowej, przyczyniła się do odrodzenia państwa polskiego w 1918 roku. Jej ciągłość pozwoliła przygotować dobrych polityków, którzy w odpowiednim momencie mogli uruchomić niemal normalną służbę dyplomatyczną. Przygotowanie do służby państwowej dyplomatów było niezmiernie istotne, ich efektywną działalność uwarunkowywał jednak splot wydarzeń międzynarodowych, w których Polska była partnerem słabszym. W sprawie polskiej doniosłe znaczenie miało orędzie Piotrogrodzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich z 28 marca 1917 roku, a szczególnie liczyła się proklamacja Rządu Tymczasowego z 30 marca, wobec której – jako proklamacji rządowej – musiano zająć stanowisko na terenie międzynarodowym. Po ogłoszeniu tej proklamacji mocarstwa koalicji, miały względną swobodę w rozpatrywaniu problemu polskiego, który przestał być wewnętrzną sprawą Rosji. Dyplomaci polscy, mimo wielu zastrzeżeń do proklamacji, cenili ją, bo ona umożliwiała im otwartą działalność na arenie międzynarodowej. Mogli opracowywać memoriały i oficjalnie wręczać je mężom stanu, prowadzić z nimi otwarte rozmowy i z uporem godnym szacunku zabiegać o wspólną deklarację aliantów w sprawie polskiej. W dotychczasowej działalności byli krępowani przez samych aliantów, do których należała przecież Rosja. W połowie sierpnia 1917 roku utworzono w Lozannie Komitet Narodowy Polski z siedzibą stałą w Paryżu, którego przedstawiciele podjęli zaraz działalność dyplomatyczną przy rządach alianckich w Londynie, Rzymie, Paryżu i Waszyngtonie. W czerwcu 1918 roku na konferencji premierów Francji, Anglii i Włoch w Wersalu przyjęto niezbyt konkretny, ale ważny dla Polski tekst deklaracji: „Stworzenie Polski zjednoczonej i niepodległej, z dostępem do morza, stanowi jeden z warunków pokoju trwałego i sprawiedliwego oraz przywrócenia prawa (praworządności, rządów prawa) w Europie". Deklaracja była największym dotąd osiągnięciem w dyplomacji polskiej, bowiem sprawę polską potraktowano w niej – według słów Władysława Seydy – jako „problem którego rozwiązania wymaga dobro powszechne". Dekret Rady Komisarzy Ludowych z 29 sierpnia 1918 roku, anulujący układy dotyczące rozbiorów Polski i uznający prawo narodu polskiego do niepodległości, ostatecznie przekreślił ważny fragment porządku europejskiego, którego osią newralgiczną była sprawa polska. 11 listopada w Warszawie rozbrojono wojska niemieckie, a Józef Piłsudski objął w Polsce władzę jako wódz naczelny. Dzień ten uznano za święto odzyskania niepodległości.

– W tej sytuacji Polska mogła wystąpić na konferencji pokojowej w Paryżu już oficjalnie.

– Tak, po długich dziesięcioleciach polska delegacja, jako jedna z 27 delegacji państw sprzymierzonych i stowarzyszonych, mogła oficjalnie reprezentować i bronić spraw dotyczących państwa polskiego. Roman Dmowski, Ignacy Paderewski, Władysław Grabski z zespołami doradców i ekspertów, wypełnili swoje zadania w granicach, w jakich było to wtedy możliwe. W traktacie pokojowym z Niemcami Polska nie uzyskała tego, co jej się należało i czego chciała, ale nie można za to winić naszych delegatów. To są zresztą sprawy dosyć dobrze znane. Osiągnięto najważniejsze: traktat wersalski potwierdził istnienie państwa polskiego. Podkreślam – p o t w i e r d z i ł, gdyż nieprzychylna nam propaganda obca, a w przeszłości również ta nieudolna nasza własna, głosiła, że Polska jest tworem traktatu wersalskiego. Państwo polskie, w sprzyjającej sytuacji międzynarodowej, o d r o d z i ł o się wysiłkiem samego narodu. Traktat wersalski potwierdzał więc tylko istnienie Polski i zarazem wyznaczał jej miejsce w Europie, oddalając doraźnie groźbę niemieckiej agresji. Trzeba przyznać rację Ignacemu Paderewskiemu, który na posiedzeniu sejmu w lipcu 1919 roku powiedział, że traktat wersalski daje Polsce „wolność, niepodległość, zapewnia jej korzyści, które przed pięciu jeszcze laty olbrzymia większość Polaków uważałaby za niedoścignione marzenie...".

– Przygotowywana do druku synteza ujawni bardziej szczegółowo wszystkie ważniejsze mechanizmy dyplomacji polskiej, jej formy, metody i umiejętności dyplomatów – ich porażki i sukcesy. A także – mam nadzieję – będzie eksponować polski punkt widzenia historii.

– Proszę się uspokoić – w syntezie zdecydowanie dominuje polski punkt widzenia i obiektywizm. Chciałbym jeszcze raz zaznaczyć, że dyplomacja bez państwa oznacza po prostu realizację myśli niepodległościowej. Realizowano ją w oparciu o określoną służbę dyplomatyczną. Synteza ukaże to wyczerpująco.

– Dziękuję panu profesorowi za rozmowę.

Rozmawiał

Tadeusz Bolduan

Opinie

Wprowadzona przed kilku laty zasada, że wszystkie dzieci w klasach I-IV włącznie winny być promowane bez względu na postępy sprawia, iż wychowawcy klas piątych otrzymują do dalszego kształcenia uczniów, którzy nie odpowiadają wymaganiom zakreślonym programami nauczania. A przecież i dzieci w niższych klasach osiągnęłyby należyty poziom, gdyby program nie przekraczał ich umysłowych sprawności, a nauczycielka miała w klasie najwyżej dwadzieścioro uczniów.

Jeżeli przyszły historyk naszych czasów spojrzy na obowiązujące dziś programy nauczania, stwierdzi ze zdumieniem, że przed rokiem dwutysięcznym w Polsce mieliśmy wśród młodzieży samych geniuszów. Ale, gdyby spojrzał na świadectwa szkolne wpadłby w rozterkę, widząc melancholijną szarość i całe bataliony trójek.

Aleksander Deptuła
POLITYKA

Stary model kultury dla ludzi ubogich, którym wszystko trzeba dać za darmo, już się nie sprawdza. Robiłem analizę wydatków na kulturę z budżetów rodzinnych: okazuje się, że dysproporcje w tej dziedzinie pomiędzy ludnością rolniczą i pozarolniczą są największe w najwyższych grupach dochodowych. Im wyższe dochody tym proporcjonalnie niższe wydatki na kulturę na wsi. Świadczy to po prostu o tym, że na wsi prawie nie ma rynku artykułów i usług kulturalnych. Nie lekceważąc nieodpłatnych form uczestnictwa w kulturze – bibliotek, klubów i tym podobnych – należy patrzeć na problem również z ekonomicznego punktu widzenia.

Michał Strąk
LITERATURA

Jako czytelnik mam takie życzenie, żeby nie zanudzali mnie formą. Osobiście mam dosyć tej formy zupełnie. Zwłaszcza w prozie. I nie zanudzać wybiegami. Tutaj właśnie można przytoczyć dawnych mistrzów w malunkach czy muzyce. Mnie interesuje coś, co ma napięcie. I gospodarowanie biologiczne odbiorcą. Organizmem człowieka. Sercem i myślą.

Miron Białoszewski
KULTURA

Zawodnicy więc zrezygnowali, bo po prostu wyzbyli się praw członków swoich małych społeczeństw. Zostali uzależnieni całkowicie od obcych im często zarządów. Wskutek takiej wyprzedaży praw obywatelskich gwarantowanych przez ustawę o stowarzyszeniach potrzebne są różne karty praw i obowiązków, karty piłkarskie, samorządy zawodnicze, aby regulować sprawy, które wyszły poza ramy klubów, jako samorządnych organizacji społecznych. I dlatego kluby, i ich dawniejsze nadbudowy – Związki Sportowe przestały być szkołą działania społecznego dla aktywistów organizacyjnych i środowiskiem wychowującym społecznie zawodników. Dlatego nie pomogło powoływanie wiceprezesów do spraw wychowawczych ani pogadanki, kiedy odspołecznienie działalności sportowej narastało razem ze zmianą struktury klubów i związków.

Jan Mulak
WALKA MŁODYCH

Droga od pomysłu do zastosowania rozwiązań wydłuża się wskutek tego, że oddzielnie planujemy badanie i oddzielnie produkcję. Nie bilansuje się, jak to ma miejsce przy zakupie licencji, wszystkich środków i nakładów. Skutek jest taki, że cykl wdrożenia zakupionego za granicą rozwiązania jest krótszy co najmniej o rok od wdrożenia rozwiązania krajowego.

Waldemar Budziło
PRAWO I ŻYCIE

Kiedy postawiono na chemię w przemyśle włókienniczym i z krosien tkackich poczęły schodzić tkaniny syntetyczne – trwałe, niemnące i niekurczliwe, zdawać się mogło, że weszliśmy bezpowrotnie w erę syntetyków, które wyprą z rynku wełnę nie wytrzymującą z nimi konkurencji. Fascynacja nylonem, stylonem, dederonem, krempliną czy poliestrem trwała jednak krótko. Moda odrzuciła „syntetyki" jako mało eleganckie, rozsądek – jako niezdrowe. Garnitur z rodzimego bistoru na „świątek i piątek", w dodatku niedrogi i nie do zdarcia, znów zastąpiła wełna. „Pure wool" i wełnopodobne mieszanki, jak angielska „dyplomatka", ostały się wszystkim trendom w modzie.

Polska żywa wełna

KRYSTYNA WEISS

Zdjęcia:

ZYGMUNT GRABOWIECKI

Dyrektor Polskiej Izby Wełny – Jerzy Abacjew

Dom Wełny w Gdyni

Wełną interesują się dziś nie tylko hodowcy owiec, spędza ona sen z powiek dyktatorom mody, zajmuje się nią cały przemysł odzieżowy, w „wełniany" temat angażują się również ekonomiści. Run na ten szlachetny surowiec trwa, choć ceny jego w ostatnich latach poszły w górę – w sezonie 1977/78 kilogram czystej, żywej wełny na rynku australijskim kosztował średnio 3 dolary.

Importujemy rocznie około 20 tys. ton tego surowca. Zapotrzebowanie przekracza jednak nasze możliwości importowe. Toteż owczarstwo zajmuje dziś ważne miejsce w naszej polityce hodowlanej. Przewiduje się, że po roku 1985 będziemy mieli około 5 mln sztuk owiec, co nie stanowi jednak optimum. Eksperci z branży wełniarskiej szacują możliwości hodowlane na prawie 6,5 miliona wełnistych czworonogów.

Postęp zanotowany w krajowym owczarstwie w ostatnich latach, to bezpośredni wynik bardziej naukowego spojrzenia na hodowlę. Przypadkowy producent i dostawca wełny, właściciel 3–4 owiec jest dziś zastępowany przez specjalistyczną fermę owczarską. Mimo to w świadomości naszej wciąż pokutuje stereotyp, że polska wełna jest gorsza od angielskiej czy australijskiej.

Handel dżentelmeński

Dwujęzyczny napis u wejścia do budynku przy ulicy Kieleckiej w Gdyni głosi „Izba Wełny". Napis tuż obok wyjaśnia specyfikę tej placówki – Sąd Polubowny. Izbie Wełny bowiem – jednej z trzech tego typu instytucji w świecie, a jedynej o charakterze nie tylko organizacyjnym, lecz i usługowym, przychodzi w oparciu o wnikliwe badania rozstrzygać spory między eksporterami a importerami. Innymi słowy – ochraniać rynek krajowy i zagraniczny przed bublami. W trzech wyposażonych w najlepsze urządzenia pomiarowe laboratoriach ocenia się wydajność wełny i bada jej zanieczyszczenia, klasyfikuje surowiec pod względem grubości (w Polsce obowiązuje klasyfikacja grubościowa, która uwzględnia 13 asortymentów wełny jednolitej i 4 gatunki wełny mieszanej), opracowuje nowe pomysły i eksperymentuje. Aktualnie – na temat wykorzystania surowców wtórnych i barwienia taśm czesankowych.

– Reklamacje między kontrahentami

Owce należą do zwierząt najwcześniej udomowionych i użytkowanych przez człowieka. Na ziemiach polskich pojawiły się w okresie 2300–2000 lat p.n.e. Początkowo dostarczały tylko pożywienia – mleka i mięsa, z czasem – odzieży w postaci skór, wreszcie surowca włókienniczego – wełny.

Najstarszym gatunkiem owcy, hodowanym do końca XVIII stulecia była świniarka, której wełnę używano jedynie do wyrobu grubych tkanin. Za bardziej uszlachetnioną dawną owcę krajową uważa się karnówkę. Hodowano również w tym okresie owcę pomorską i górską.

Merynos sprowadzony został do Polski na przełomie XVIII i XIX wieku. Z jego „futra" produkowano szlachetną, cienką wełnę sukienniczą. Z krzyżówkowych mariaży uzyskiwano coraz doskonalszy surowiec.

W okresie międzywojennym owczarstwo stało na dobrym poziomie – w hodowli osiągnięto nie tylko 3,5 mln owiec, ale i dwie nowe odmiany – łowicką i olkuską. Była to w dużym stopniu zasługa ówczesnych Izb Rolniczych, Związku Hodowców Owiec oraz Polskiego Instytutu Wełnoznawczego.

Po wojnie największy sukces hodowlany wyrażony liczbą 4,2 mln zanotowano w 10-leciu 1945–55. Przez następne dziesięć lat statystyka pogarszała się, aż w roku 1965 pogłowie spadło do 3 mln sztuk. Taki stan utrzymywał się do niedawna. Skok nastąpił w czerwcu ub. roku. Zbliżyliśmy się znowu do powojennego rekordu. W przeliczeniu na włókienniczy surowiec oznaczało to 11,6 tys. wełny (nie pranej).

nie zdarzają się często – mówi dyrektor Jerzy Abacjew. Handel wełną miał zawsze opinię handlu dżentelmeńskiego. Mamy najwyżej 3–4 arbitraże rocznie. Dotyczą niezgodnej z umową grubości wełny i jej wydajności. W tych sporach jesteśmy ostatnią instancją – nasze wyroki są niepodważalne.

Transakcje handlowe zawierane między zagranicznymi kontrahentami odbywają się według tak zwanych reguł gdyńskich – kodeksu ustanowionego przez Izbę Wełny i zaakceptowanego przez jej 133 członków z 15 krajów świata – hodowców, spedytorów, przemysłowców. Wchodzą oni w skład 17 (w najbliższym czasie 22) komisji branżowych obejmujących zagadnienia i sprawy związane z obrotem, przerobem i produkcją wełny. Zakres kompetencji Izby Wełny sięga znacznie dalej. Ostatnio na przykład przygotowuje się opracowanie na temat perspektyw rozwoju owczarstwa w Polsce, z uwzględnieniem zagospodarowania pasa jezior na Pojezierzu Kaszubskim, w województwach słupskim i koszalińskim. Tematem „numer 2" jest konteneryzacja wełny. Izba ma w tym zakresie już spore doświadczenia, z okresu przed trzema laty, gdy ms. „Djakarta" przywiózł do kraju 18 tys. bel wełny, a w porcie nie było miejsca, ani sprzętu, do jej składowania.

Ambicje izby sięgają jednak jeszcze dalej.

– Chcemy stworzyć taką sytuację – powiada dyrektor Abacjew, który przed 30 laty jako świeży absolwent studium rzeczoznawców wełny był inicjatorem powstania izby – aby każdy zainteresowany hodowlą, transportem, przemysłem i obrotem wewnętrznym, mógł od nas otrzymać odpowiednie studia, opracowania, analizy. Bo my jesteśmy ekspertami i od nas oczekuje się odpowiedzi na rozmaite pytania. Na przykład: czy Polska w ramach spółki powinna podjąć budowę fabryki włókien wełnianych w Australii.

Izba Wełny powstała przed 30 laty, w tym roku wprowadziła się do nowego obiektu. Kubatura – 20 129 m sześciennych, powierzchnia 4,5 tys. m kwadratowych. Koszt – 86,5 miliona złotych. Laboratoria, gabinety, pokoje rekreacyjne, audytorium na 200 osób przystosowane do obsługi konferencji w pięciu językach. Elegancka wizytówka polskiego wełniarstwa.

Ze znakiem „woolmark"

Jak jest naprawdę, mogą powiedzieć tylko eksperci z Polskiej Izby Wełny w Gdyni – placówki, w której prowadzi się skrupulatne badania laboratoryjne wełny polskiej, angielskiej, australijskiej, argentyńskiej.

Nie ma wełny złej – mówi Jerzy Abacjew, dyrektor gdyńskiej izby. – Wszystko zależy od tego, do jakiego rodzaju produkcji zostanie ona zużyta. Wełna mongolska jest wyjątkowo prymitywna, bo zawiera dużo martwego włókna, lecz w tkaninie płaszczowej wygląda na przykład bardzo efektownie.

Jeszcze niedawno wełna dostarczana do punktów skupu „Samopomocy Chłopskiej" wędrowała najpierw do okręgowych przedsiębiorstw Centrali Krajowych Surowców Włókienniczych i Skórzanych, stamtąd zaś trafiała dopiero do przemysłu. W centrali była sortowana i ulegała najczęściej uszkodzeniu. Obecnie, na wniosek Polskiej Izby Wełny surowiec wędruje wprost z PGR do zakładu przemysłowego, zgodnie z założeniem, iż zakład, który ma go przerabiać, wie najlepiej, jak się z nim obchodzić. Przygotowanie dobrej wełny w sortowni jest jednak uwarunkowane także jej umiejętną klasyfikacją w czasie strzyżenia owiec. A to jest, jak powiadają specjaliści, wielką naszą słabością. Hodowla nie dysponuje jeszcze fachowcami, którzy mogliby się podjąć takiego przygotowania surowca.

Przyznanie Polskiej Izbie Wełny przez Międzynarodowy Sekretariat Wełny prawa do opatrywania najlepszych krajowych wyrobów znakiem „woolmark" świadczy jednakże, że przy umiejętnej obróbce tego cennego surowca potrafimy produkować rzeczy cieszące się powodzeniem na rynku krajowym i zagranicznym. Znakomite tkaniny produkujemy również z wełnopodobnych mieszanek, pod warunkiem wszakże, że „udział" wełny wynosi w nich nie mniej niż 60 procent. Dla tych wyrobów – ponoć najlepszych na męskie spodnie – ubiega się Polska Izba Wełny o nowy znak wysokiej jakości – „wool blend mark".

„Shetland" z „Jarlanu"

Modne i poszukiwane sweterki z szetlandzkiej wełny za którymi przepadają na całym świecie nastolatki i staruszkowie, u nas do nabycia w komisach lub sklepach „Mody Polskiej", kosztują dziś w granicach od 2 do 5 tysięcy złotych i znajdują nabywców, choć żywot ich jest stosunkowo krótki, jako że oryginalna wełna szetlandzka pilśni się i przeciera.

W Polsce od długiego czasu prowadzono badania nad ewentualnym zastosowaniem w przemyśle dziewiarskim rodzimej wełny do produkcji wyrobów typu „shetland". W jarosławskim „Jarlanie" we wrześniu ubiegłego roku na spotkaniu przedstawicieli branży wełniarskiej wszystkich szczebli podjęto decyzję produkcji wyrobów ze stuprocentowej krajowej przędzy wełnianej, która posiada parametry zbliżone do wełny szetlandzkiej.

Swetry z „Jarlanu", jeżeli zabiegi Izby Wełny zostaną uwieńczone kolejnym sukcesem, otrzymają wysoki znak jakości – „superwash", który oznaczać będzie wełnę czystą, lecz niekurczliwą. Tajemnica jej cudownych właściwości zawierać się będzie w mikronowej warstwie syntetyku powlekającej wełniane włókno.

Z zagrody do biura mody

Co roku z inicjatywy Polskiej Izby Wełny odbywa się w kraju pod koniec roku kalendarzowego pokaz międzynarodowych kolekcji kierunkowych konfekcji damskiej i męskiej. Mecenasem imprezy, przeznaczonej głównie dla projektantów, konstruktorów tkanin i odzieży, jest Biuro Reklamowe Międzynarodowego Sekretariatu Wełny.

Na ostatnim pokazie odbytym w łódzkim Muzeum Włókiennictwa w grudniu ubiegłego roku, zaprezentowano kilkaset sztuk odzieży z czystej żywej wełny, zaprojektowanych interesująco tak pod względem wzornictwa, jak i formy przez światowych mistrzów i dyktatorów mody. Powszechny podziw wzbudził jednak nie krój, lecz sama tkanina. Lekkie, miękkie i puszyste – jak relacjonowali sprawozdawcy pokazu mody – wełny wodoodporne świetnie nadawały się do aktualnie lansowanych obszernych form ubioru. Szczególne zainteresowanie wzbudziły efektowne garnitury męskie uszyte przez znane firmy niemieckie i włoskie – z bielskich wełen.

Bielska i nie tylko, polska żywa wełna z najwyższym znakiem jakości to wizytówka naszego przemysłu włókienniczego. Dla tkanin ze znakiem „woolmark" otwarte są zagraniczne rynki zbytu nawet przy konkurencji firm angielskich czy francuskich. Problem zatem w rozmiarach hodowli, która skupia się u nas przede wszystkim w rękach indywidualnych gospodarzy. Jeśli będą w ciągu najbliższych lat w takim stopniu zainteresowani hodowlą owiec jak dziś, oznacza to dla kraju niebagatelne oszczędności dewizowe. Lecz nie tylko oszczędności. Jedna owca to nie tylko 8–9 kilogramów wełny rocznie, to również wiele kilogramów mięsa i sera. To także skóra, z której można „wyczarować" nutriety, polofiksy i biberole, uszyć welurową kurtkę lub kożuch. ■

Coś z ryb

KRZYSZTOF POHL

Z rybami jak jest, wie każdy. Otóż o ryby, zwłaszcza na dalekich łowiskach, coraz trudniej, podobnie zresztą jak w sklepach. Jeśli jednak w pierwszym aspekcie opinie są zgodne i sklepowa publiczność daje wiarę zapewnieniom ekspertów, w kwestii zaopatrzenia sytuacja ma się inaczej. Wedle branży rybnej piętrzące się trudności nie zmniejszyły generalnie ilości ryb dostarczanych na rynek. Odwrotnie nawet – w ubiegłym roku dostawy nawet minimalnie wzrosły. Jeżeli teraz dać wiarę statystykom Zjednoczenia Gospodarki Rybnej, otwarty pozostaje problem skąd owo przeświadczenie klienteli CR o ubóstwie ład sklepowych?

Mało która z rynkowych branż w ostatnim dziesięcioleciu tak wytrwale pracowała nad kształtowaniem popytu na swoje wyroby, i mało kto w Polsce tak hojnie sypnął pieniędzmi jak ZGR. Upór i konsekwencja w tej mierze sprawiły, że apetyt Polaka na rybę rósł w miarę wzrostu połowów i kierował się nawet na pogardzane początkowo gatunki. Z czasem ukute przez zdesperowanych klientów hasło „jedzcie dorsze... etc." zmieniło się w wołanie „dajcie dorszy". Ale dorszy coraz mniej, podobnie jak stosunkowo niedawno jeszcze zachwalanej szeroko (i skutecznie!) makreli, o śledziu solonym nie wspominając.

Śledź delikatesem

Dlaczego mniej, też wiadomo. Najpierw srebrne ławice zniknęły na Morzu Północnym i jego okolicach, potem przyszła kolej na 200-milowe strefy rybołówcze i łowienie tego co po dyplomatabilizowana.

Nie znaczy to że w przetwórstwie rybnym niewiele się dzieje. Opanowano na przykład sposób mrożenia sardynek (podobnie jak przedtem szprota), tak że nie tracą walorów smakowych, i z łowisk marokańsko-mauretańskich dadzą się dowieźć do kraju, a potem tu przetworzyć na niezłe konserwy. Wbrew pozorom, jak zapewniają w ZGR, sprawa nie była prosta, jako że tradycyjni producenci sardynkowych konserw robią je z ryb świeżych. A z drugiej strony wprowadza się linie produkcyjne do przetwórstwa np. specjalne oprzyrządowanie, które ułatwić ma obróbkę ostroboka.

Miłość... do puszki

Niejako przy okazji fachowcom od ryb zaprząta głowę inny problem. Mówiąc językiem branżystów, struktura spożycia ryb w Polsce jest anachroniczna i praktycznie nie spotykana w innych krajach o zbliżonym do naszego poziomie rybołówstwa. Otóż – twierdzą oni – Polak zjada stanowczo za dużo ryb solonych. Problem, jak widać, jest świeżej daty. Dopóki śledź był dostępny na łowiskach, a handel nie przygotowany do obrotu rybą, wygodnie było słać beczki nawet w Bieszczady, dając ludziom to, do czego przywykli i zdążyli polubić. Teraz gdy mathias awansował na delikates, a na światowych rynkach cena beczki solonych śledzi dochodzi nawet do 200 dolarów, problem struktury zaniepokoił branżystów i zmusił do podjęcia prób zmiany przyzwyczajeń. Inna sprawa, na ile są to dotychczas próby udane.

Statystycznie biorąc, coś z ryb morskich (pomijając świeże i mrożone) przybiera w naszych sklepach kilka postaci: konserw, marynat, wyrobów garmażeryjnych, wędzonych i solonych. O tych ostatnich była mowa. Ale choć coraz trudniej o śledzie, a inne gatunki (bez szkody dla smaku) w solance moczyć się nie lubią, jeszcze w ub. roku mniej więcej co ósmy kilogram, sprzedawany był właśnie w tej postaci. Przyszłość, wiadomo, rysuje się mrocznie i teraz cały problem polegać będzie na przekonaniu zwolenników śledzia, że rezygnując z niego opowiadają się w istocie za postępem. Kiepskie perspektywy rysują się przed filetami, które również zdobyły sobie dużą popularność wśród klienteli. O białą rybę (karmazyna, dorsza), nadającą się do filetowania, wcale nie łatwiej niż o śledzie. Dostawy filetów maleją i optymistyczne prognozy sprzed trzech lat, przewidujące, że w roku osiemdziesiątym około czterdzieści procent ryb morskich przybierze właśnie taką postać, można już między marzenia włożyć.

Zdecydowanie inaczej ma się sprawa z konserwami. Powoli zbliżamy się do sytuacji, w której czwarta część ryb w tej właśnie postaci trafi na rynek. Chęć do puszkowania jest w branży rybnej tak wielka, że trzeba ją niekiedy studzić. Konserwy kocha handel, lubią robić fabryki, tylko konsument niezbyt je sobie ceni. Sprawa jest prosta; większość konserw nie zadowala nawet mało wybrednego zjadacza. W powodzi mdłych tomatów i olejów, nieliczne tylko wyroby: koreczki i krajanka (ze szczecińskiego „Gryfu"), sardynki w ostrych sosach (ze świnoujskiej „Odry"), w większości zwłaszcza szproty, (wyroby najlepszych bodaj w kraju, Gdańskich Zakładów Rybnych), czy flądra w oleju z Dziwnowa; potwierdzają tylko smutną regułę, dowodząc zarazem, że przemysł potrafi już robić nawet bardzo smaczne konserwy. Rzecz w tym, że do poziomu tych najlepszych nie mogą jakoś od lat dorównać inne wyroby i zakłady. Konserwy są kiepskie, chociaż jak stwierdziła to ze zdziwieniem Sejmowa Komisja Gospodarki Morskiej, tomaty, a nawet tartą bułkę do ich produkcji sprowadzamy za twarde dewizy. Teraz jeszcze dodawać będziemy importowane koncentraty przypraw. Kropla koncentratu ma podnieść walory konserw, w stopniu znaczniejszym niż na przykład szczypta pieprzu czy papryki. Może i prawda...

Tak czy owak, nad jakością konserw trudno przejść do porządku, tym bardziej że sporo znaczą w rybnym menu rodaka. Szkoda topić w niesmacznych konserwach z trudem zdobywaną rybę.

Znikający rolmops

Tem sam mniej więcej problem dotyczy całej rybnej garmażerii, włączając marynaty. Od lat w tej mierze, szykuje się rewelacje, od lat, nie wiedzieć co udaremnia nowatorskie zapały. Liczne deklaracje ujawniane zwłaszcza podczas (udanych z reguły!) degustacji, idą w zapomnienie wraz z ostatnimi półmiskami. Na niespodzianki trudno liczyć, a jeśli już, to raczej na nieprzyjemne. Znikają na przykład marynaty, m.in. świetne gryfowskie rolmopsy i nikt nie obiecuje zmian na lepsze. Jak meteor przeleciały przez niektóre sklepy znakomite marynaty firmy Nordiq, udowadniając przy okazji, że dobre rzeczy robić można także (sądząc po rozmiarach tego co w słoikach) ze śledzi bałtyckich. Można, lecz pęd do puszkowania wszystkiego co pływa, każe wkładać bałtyckie śledzie do puszki i robić z nich to, co się robi.

Biuletyn ZGR sprzed 2 lat rozpisywał się szeroko m.in. o walorach i rodzajach gotowych dań produkowanych za granicą. Fachowo sklasyfikowano, aż pięć rodzajów dań („gotowe", „gotowe częściowo", „w sosach", mrożone wymagające dodatkowej obróbki i jej nie wymagające). Było też o doskonałym opakowaniu dla tych produktów typu sterylitè; na koniec zaś – o badaniach stopnia zainteresowania naszego rynku różnymi formami dań gotowych. W tym ostatnim celu sprowadzono tytułem próby drobne partie gotowych dań rybnych szwedzkiej firmy Findus, które na rynku, niestety, nie przyjęły się. Dlaczego? – Branżowcy mówią o braku reklamy i rozeznania rynku, dodając skromnie, że koszt opakowania wynosił przeciętnie... 100 zł. W sytuacji gdy mięsno-warzywne gotowe dania z Pudliszek kosztują pięciokrotnie mniej, zaś za tę cenę w eleganckiej restauracji rybnej „Chief" da się zjeść przyzwoity obiad, z przystawką nawet można już darować sobie wszelkie pogłębione analizy przyczyn niechęci konsumentów gotowych dań rybnych.

Jeszcze mniej więcej przed 10 laty każdy co ambitniejszy dyrektor CR miał za punkt honoru robienie garmażerki: kiełbas, sałatki, ryb w galarecie i czegoś tam jeszcze. I choć nie stało za tym naukowe zaplecze i habilitowani docenci badający jak przyrządzić np. cojinabę, lady sklepowe (przynajmniej w dużych miastach) bywały pełne niezłych wyrobów. Dziś sprawa ma się gorzej i trudno przypisać to powszechnemu przyjęciu na świecie 200-milowej strefy połowów. Na skalę przemysłową produkuje wyroby garmażeryjne niewiele zakładów, a wśród nich najpoważniejszy – świnoujska „Odra". Póki co więc klientela rybnych sklepów może głównie żywić się nadzieją, że niebawem przynajmniej w kilku rejonach kraju sytuacja ulegnie poprawie.

Oto więc „Dalmor" otrzyma w przyszłym roku całą linię do produkcji (800 ton rocznie) wyrobów garmażeryjnych. Dzięki technologii firmy Findus, mają trafić wreszcie na rynek gotowe wyroby: filety w sosach, zapiekanki i, jeśli starczy inwencji technologom z Morskiego Instytutu Rybackiego, jeszcze inne potrawy. Na przeciwległym krańcu Polski w Zabrzu – Mikułczycach, ruszy też niebawem duży (5000 ton rocznie) zakład przetwórstwa – gdzie będzie się ryby wędzić, przerabiać na marynaty i wyroby garmażeryjne. Nieco mniejsze zakłady powstają w Krakowie, Płocku, Poznaniu – Piątkowie, Rzeszowie i Bydgoszczy. W Świnoujściu rośnie hala, w której na dużą skalę produkowane będą farsze rybne.

Miejmy nadzieję, że wszystkie przedsięwzięcia zmaterializują się w terminie, zaś wyroby które trafią na rynek zaspokoją także smak nieco bardziej wybrednych klientów. Uczciwość reportera każe jednak przestrzec co bardziej niecierpliwych kibiców rybich zapiekanek i filetów w sosach. Przed dwoma laty na tychże łamach podawałem co następuje: „Gdyński „Dalmor" rozpoczął na skalę przemysłową (1000 ton rocznie) wytwarzanie farszów rybnych. Świnoujska „Odra" bierze się za pierożki i kiełbaski rybne, podwędzane, pikantne. Liczne Centrale Rybne dostarczą pikantne zapiekanki, hamburgery, pulpety, klopsiki, paluszki i sałatki. Rodzą się receptury rolady z ostroboka, klopsików po żydowsku, pasztetu z halibuta i dziesiątków jeszcze nowych wyrobów produkowanych także w formie mrożonych dań". Klientów CR nie trzeba uświadamiać, jak niewiele z tych zapowiedzi udało się zrealizować.

„Rybar" – raz!

Nie udało się także – wbrew wyrażanym wówczas nadziejom – stworzyć, ani odmienić taniej rybnej gastronomii, tych wszystkich barów i smażalni, w których na jednej patelni w tym samym oleju smaży się kilkadziesiąt (albo i więcej) porcji ryb. Tam dorsz tylko ceną różni się od sandacza, a do wszystkiego serwuje się kapustę. Takie przybytki są ostatnią deską ratunku dla równie głodnych co zdesperowanych osobników. Co tu zresztą mówić o dorszu czy sandaczu. W pasie zachodniego wybrzeża, smażony dorsz jest rybą trudniej dostępną niż białokrwiste, antarktyczne karguleny czy nototenie. Na palcach jednej ręki wyliczyć można nadmorskie (sezonowe) smażalnie, w których da się zjeść świeżą, właśnie co złowioną w Bałtyku rybę. Jeden z niewielu takich punktów prowadzi w Międzyzdrojach spółdzielnia „Certa". Ale już 30 kilometrów dalej w Dziwnowie, gdzie pracuje spora firma połowowa – spółdzielnia „Belona", trudno liczyć na świeżo złowioną, smażoną bałtycką rybę. Nie lepiej jest w Szczecinie. Dwie stałe i kilka ustawionych tymczasowo smażalni ma zaspokoić apetyt na rybkę 400 tysięcy stałych mieszkańców i kilkuset tysięcy przyjezdnych.

Inni już dawno wymyślili tanie, i smaczne potrawy szybko przyrządzane z ryb za pomocą metody tzw. głębokiego pieczenia. Wrzucona na kilkadziesiąt sekund do wrzącego tłuszczu ryba piecze się niczym pączek: taka operacja nie zabija smaku a nadto nie zatruwa powietrza. W ten sposób robi się np. popularne w Anglii (i nie tylko) fish and chips czyli dorsza z frytkami i keczupem. Co stoi na przeszkodzie, aby tę metodę pieczenia upowszechnić i u nas, zaopatrując smażalnie i bary rybne w odpowiednie urządzenia, proste receptury, sosy i trochę przypraw?

Przed dwoma laty doniesiono o narodzinach koncepcji barów i sklepów-barów pod jednolitą nazwą „Rybar". Koncepcja została opracowana w detalach. „Sala konsumpcyjna zostanie urządzona ze stolikami i krzesłami umocowanymi na stałe", „na wszystkie dania, które będą kosztowały 10 zł, wydawane będą białe bloczki" – donosił jeden z biuletynów ZGR. Rzecz miała się rychło zmaterializować w postaci 30 „Rybarów" (do roku 1980). Dziś wiemy, że dobrze będzie, jeśli do tego czasu w całym kraju uruchomiony zostanie jeden – we Wrocławiu.

Jak się rzekło, o rybę coraz trudniej i coraz drożej kosztuje jej zdobycie. Branża robi coraz więcej, aby możliwie wszystko, co z trudem zdobywają rybacy, wykorzystać na cele konsumpcyjne. Ma zresztą w tej mierze niewątpliwe osiągnięcia choćby w dziedzinie przetwórstwa szprota, który jeszcze przed kilkoma laty w dużej mierze przeznaczony był na mączkę. Mimo wszystko jest dopiero w połowie drogi. Za dużo ryb topimy w mdłych sosach i tomatach, akurat na przekór apetytom, jakie ma rodak na rybę.

■

środek świata

EDMUND SZCZESIAK

Fot. ZYGMUNT GRABOWIECKI

Nagrodą była rzeźba. Figurka z lipowego drewna przedstawiająca wieśniaka w sukmanie. Pokazał ją szwagrowi, który pracuje w chłodni i ma dość chłodny stosunek do sztuki, natomiast praktyczny do życia. Obejrzał, pomedytował i zapowiedział: – Zobaczysz, że ona pociągnie ciebie dalej. Ta figurka zrobi z ciebie figurę. Odebrał rzeźbę na VI Kongresie Siłaczek i Judymów, który odbył się w maju siedemdziesiątego drugiego roku, a w kilka tygodni później przyszło zawiadomienie o przyznaniu mu nagrody „Trybuny Ludu". A potem jeszcze nagrody ministra oświaty i wychowania.

Na uroczystości wręczenia nagród „Trybuny" stał obok profesora Łopatki. Ktoś podszedł i powiedział, że jest upoważniony do zabrania głosu. Myślał, że to było skierowane do profesora, a to było do niego. I on, nauczyciel wiejski, dziękował w imieniu wyróżnionych, wśród których było wielu profesorów. Po nagrodzie oświatowej zaprosił go do siebie minister Kuberski. Rozmawiali trzy godziny w gabinecie, a potem jeszcze w samochodzie, bo minister obwiózł go po Warszawie. Po nagrodzie „Trybuny" do wsi zjechał cały sekretariat komitetu partii w Tczewie, aby mu osobiście pogratulować. Nawet ci, którzy przedtem na jego poczynania patrzyli niezbyt łaskawym okiem, teraz stali się bardzo mili. Pisano o nim w „Głosie Wybrzeża" i w „Głosie Pracy", nawet w „Przyjaciółce". Szwagier triumfował: – A nie mówiłem?

Tyle lat cisza, żadnych splendorów, raczej rzucanie kłód pod nogi i nagle – w jednym roku – takie honory.

W ogóle od kongresu miał szczęście. Od rzeźby otrzymał trzynaście nagród. Dwie mu przyznano, ale jedenaście wywalczył. W różnych konkursach: na prace naukowe z historii regionalnej, na pamiętniki, na wspomnienia. Ma wiele pasji, a jedną z nich jest pisanie. Konkursy różne, ale w zasadzie pisze wciąż o tym samym. O czym? O środku świata.

Jeśli Ziemia jest jak piłka to gdzie wypada środek świata? Tam, gdzie go sobie człowiek sam wyznaczy, albo wyznaczy mu los. Może być Paryż, może być Warszawa, może być Piaseczno. Dla niego wypada w Piasecznie.

Dla Ejankowskiego środek świata. Dla mnie wieś, mały punkcik na nie każdej mapie. Spojrzałem przed wyjazdem: położona przy przelotowej trasie E-16, na południowym krańcu województwa gdańskiego, za Gniewem, dość daleko od dużego miasta. Zajrzałem do encyklopedii: pięć linijek tekstu. Bardzo dużo jak na wieś liczącą pięciuset mieszkańców. Trzecia linijka tłumaczy powód umieszczenia wsi w encyklopedii: zabytkowy kościół gotycki z XIV wieku z barokową dekoracją stiukową.

Zanim pojechałem – zadzwoniłem. Dowiedziałem się wcześniej, że Ejankowski już w Piasecznie nie pracuje, awansował do Gniewa. Ktoś w szkole podniósł słuchawkę. – Gdzie teraz mieszka? – A gdzie mógłby mieszkać? On się przecież z Piaseczna by nie ruszył...

Od przelotowej trasy odbija boczna szosa. Krótka obwodnica, która odsuwa wieś od zgiełkliwej arterii. Na poboczach dwa szpalery lip, w których roją się pszczoły. Stare domy, niskie i spadziste przeplatają się z nowymi, płaskimi – jak wszędzie. Na wzgórku kościół o wysokich murach i kwadratowej wieży nakrytej hełmem. W polu wiatrak bez skrzydeł. Dom kultury o białych ścianach, dwa budyneczki szkolne, sklep spożywczy. Idę na koniec wsi. Budynek, z początku wieku, tonie w zieleni. Na podwórku gromada rozbieganej dzieciarni. Dawniej mieściła się tutaj szkoła, teraz przedszkole. W lewym skrzydle na parterze mieszka Ejankowski.

W dużym pokoju, którego okna wypełnia budynek gospodarczy z bocianim gniazdem na szczycie, stoi pod ścianą biurko. Na honorowym miejscu rzeźba „kongresowa", obok lampa naftowa prawdziwa, nie podrabiana. Stosy książek, teczki ze szpargałami. I papier kancelaryjny zapisany do połowy.

Spoglądam, za przyzwoleniem gospodarza, na ostatnie zdanie. „Ojczyzna – według mnie – jest pojęciem dość abstrakcyjnym. Ono się ukonkretnia, gdy sprawy Ojczyzny ogląda się przez pryzmat Piaseczna".

Pisze właśnie obszerną monografię wsi. Na konkurs, ale gdyby nie został ogłoszony, też by pisał, bo ma czas – wakacje – i ma taką potrzebę.

– Chodziłem do szkoły w Pieniążkowie, dziesięć kilometrów stąd. Uczył mnie Kazimierz Litz, wielki patriota, podczas wojny zamordowany przez Niemców. On nas zachęcał, żeby zapisywać małe i duże wydarzenia wiejskie. Każda miejscowość ma swoich bohaterów, ma dzieje godne poznania i wydarzenia godne utrwalenia. Mówił, że to co zapisane przechodzi do historii, a co nie zanotowane odchodzi w niepamięć. Sam stworzył pierwszą monografię pobliskiego miasteczka – Nowego nad Wisłą. On nam też często powtarzał: kochaj swój dom, swoją wieś, okolicę, a będziesz dobrym Polakiem. I ja to od niego przejąłem. Uczę tego samego. Na-

zwałem to kształtowaniem postaw przez wychowanie regionalne, ale to jest to samo, co wpoił mi mój nauczyciel. Mówię uczniom, że dzieje wsi to jak budowa domu, murowały go pokolenia. Lepiej zrozumie historię ojczystą ten, kto dokładnie pozna przeszłość własnego środowiska. Kto dowie się, jacy ludzie tutaj żyli, jaka była ich postawa, czego dokonali... Byłem kiedyś na lekcji pokazowej w liceum w Tczewie. Nauczyciel omawiał zabór pruski. Słowem nie wspomniał o tutejszych tradycjach walki o polskość – na ziemi tczewskiej, gniewskiej. A aż się prosiło, żeby do niej nawiązać. Mówił o Karolu Miarce, a nie wspomniał o Kraziewiczu. Mówił o strajku szkolnym we Wrześni, a nie wspomniał o strajku w Piasecznie. Wróciłem roztrzęsiony. Usiadłem i napisałem do „Głosu Wybrzeża" artykuł „Przybliżyć młodzieży historię regionu". Uważam, że wielką historię należy także tłumaczyć na kanwie miejscowych wydarzeń. To bardziej trafia do wyobraźni i bardziej zapada w pamięć. A jednocześnie uczy szacunku dla tej ziemi, na której wypadło człowiekowi żyć. Od początku pracy nauczycielskiej tego się trzymałem.

Dziś magister historii, wówczas – na początku – tylko absolwent liceum, bez żadnego przygotowania. „Czułem się – napisał w pamiętniku – jak żołnierz bez broni". Teraz z perspektywy lat ocenia to inaczej. Twierdzi, że miało i dobre strony. Ustrzegł się rutyny, nie poddał schematyzmowi, a były to lata uproszczeń w nauczaniu i wychowywaniu.

Pierwsza posada – w Lalkowach, niedaleko Pieniążkowa i niedaleko stąd. Wieś pegeerowska: wódka i karty po pracy. Ejankowski, którego ukształtowały wzorce nauczycieli nie ograniczających się do pracy tylko w szkole, ale i w środowisku, próbuje kontry za pomocą karty regionalnej. Tworzy zespół pieśni i tańca, który wydobywa z zapomnienia folklor kociewski. Trzy razy w tygodniu próby. Do późnych godzin nie gaśnie światło w szkole. Przychodzą starzy i młodzi. Tańców uczy wiejski choreograf-samouk, na instrumentach przygrywają wiejscy muzykanci, młodzież sama szyje stroje. Epoka przedtelewizyjna, więc ożywić kulturalnie wieś udaje się łatwiej niż w późniejszych latach. Zespół występuje na uroczystościach gromadzkich, potem wojewódzkich. Zdobywa pierwsze laury, ale przychodzi rok 1954 i zostaje rozwiązany.

Dwa lata nie pracuje. W pięćdziesiątym szóstym wraca do szkolnictwa – na stanowisko kierownika szkoły w Piasecznym Polu. Blisko, bardzo blisko Piaseczna.

Wieś – jak mówiono w okolicy – gdzie diabeł ma młode. Bez światła elektrycznego, bez drogi. Na pierwszym zebraniu z rodzicami spytał, jak długo jeszcze mają zamiar siedzieć przy lampie naftowej. Odpowiedziały mu uśmieszki. Wstał jeden ze starszych mieszkańców i powiedział: – Już my tutaj takie przemówienia słyszeli. Jak panu się uda dogadać z urzędami to mi świerk na ręce wyrośnie.

Na drugim zebraniu sceptycyzm już mniejszy: na sali jest inżynier z województwa, ściągnięty do wsi przez kierownika szkoły. Wybrany zostaje społeczny komitet elektryfikacji, a jego przewodniczącym Ejankowski. Inżynier z województwa studzi jednak zapał: na żadną pomoc nie mogą na razie liczyć, brak funduszy.

W pamiętniku zapisał: „Odbyłem około 90 podróży do różnych urzędów i instytucji, w tym Ministerstwa Rolnictwa. Po wielu staraniach przyznano nam dwieście tysięcy zł. Za mało, ale było od czego zacząć..."

Po trzech latach w 64 gospodarstwach zabłysło światło. We wsi uroczystość. Najstarszy mieszkaniec zakopał w ziemi pod transformatorem – na oczach całej wsi – lampę naftową. „Skończyła się epoka kaganka".

– Dlaczego ja się za elektryfikację zabrałem? Bo mnie samemu dokuczało, że muszę po ciemku siedzieć. Ja to także dla siebie robiłem. Jak potem poszedłem do Piaseczna to było podobnie: chodnika nie ma, droga we wsi nie oświetlona. Zmobilizowałem ludzi, bo dlaczego mamy po błocie i po ciemku chodzić, kiedy można żyć inaczej. Kto inny, nie nauczyciel powinien się tym zająć? A jak kto inny się nie zajął? Gdyby nie nasze starania, w Piasecznym Polu jeszcze przez parę lat nie byłoby światła. Pierwsza wieś elektryfikowana w województwie. Tak napisano w gazecie. Mnie potem pytano: jak wyście to wysokie napięcie poprowadzili w czynie społecznym? Że niby wielka lipa. A myśmy wyliczyli, że wkład ludności wyniósł pół miliona, a dotacje tylko 350 tysięcy. Na te pół miliona złożyły się składki pieniężne mieszkańców i robocizna. Ta niefachowa: zwózka słupów, kopanie dołów, pomoc przy ustawianiu i zakopywaniu. Cała wieś pomagała... Każdemu zależało, żeby to światło było.

Było światło, nie było dobrej drogi. Była polna „tryfta", prowadziła przez głęboczki czyli parowy i oski wygorzałe – tutejsze bagna. Jesienią i na wiosnę przypominała topiel, nie można jej było przebyć nawet na koniu, wierzchem. Niby blisko do Piaseczna, bo tylko cztery kilometry, a przez wiele tygodni w roku byliśmy zupełnie odcięci od świata. Dlaczego ja się znowu w budowę tej drogi zaangażowałem? Bo nie mogłem się stamtąd wydostać. Przeżyliśmy z żoną tragedię, właśnie z powodu odcięcia od świata. Umarło nam trzymiesięczne dziecko. Była jesień, mokro, pogotowie nie dojechało, karetka ugrzęzła na początku drogi... Nosiłem się wtedy z zamiarem przeniesienia do innej miejscowości, o lepszej drodze dojazdowej. Wystąpiłem o przeniesienie, zaproponowano mi pracę w Brzuścach, wsi lepiej położonej. Po pewnym czasie otrzymałem pismo, mam je do dzisiaj. „Inspektorat Oświaty w Tczewie zawiadamia, że sprawa przeniesienia Obywatela nie jest aktualna ze względu na interwencję mieszkańców Piasecznego Pola, którzy wnieśli prośbę do tutejszego inspektoratu o pozostawienie Obywatela na dotychczasowym stanowisku". Zostałem i zacząłem walczyć o drogę. Jeździłem do urzędów, stałem pokornie przed biurkami. Chodziło o milion złotych. Nie ma i nie będzie. W końcu uzyskałem zapewnienie, że przyjedzie komisja z województwa z samym naczelnikiem komunikacji. Na zebraniu naczelnik powiedział: – Musicie poczekać kilka lat, nie mamy teraz pieniędzy... Po zebraniu podstawiliśmy bryczkę, aby odwiozła komisję do Piaseczna, gdzie czekał służbowy samochód. Był okres kapryśnej jesieni. Bryka przewróciła się i komisja wykąpała w błocie. W dwa tygodnie później otrzymałem pismo, że zlecono dokumentację na budowę drogi. Mieszkańcy odstąpili bezpłatnie grunty, zwozili żwir, zakładali przepusty, nieraz i kilkadziesiąt osób pracowało z łopatami. Były spychacze, byli fachowcy, ale był i duży wkład ludności.

Nad dokończeniem budowy drogi Ejankowski czuwał już z drugiego jej krańca, gdyż został kierownikiem szkoły w Piasecznie.

Od siedemnastu lat patrzy więc przez pryzmat Piaseczna, ale nawet miejscowym wydaje się, że był tu zawsze.

Wychodzimy na drogę i trudno rozmawiać, bo każdy przechodzień ma mu coś do powiedzenia, a i Ejankowski sam wielu zagaduje. Co w polu, co w domu? Nic w nim z dystansu dyrektora. Powiódł mnie na ten spacer jednak w innym celu: aby pokazać jak w małej wiosce odcisnęła piętno wielka historia. I jak tradycja może służyć teraźniejszości.

– Wioska bardzo ciekawa dla historyka – mówi, a w oczach błyskają ogniki. – Ma odległe zapiski. Doszliśmy do 1384 roku. Król Jan III Sobieski też mocno się tutaj zapisał.

Przez małe, boczne drzwi wchodzimy do wielkiego kościoła. W gotyckich murach bogato rzeźbione wnętrze. Renesansowa chrzcielnica, rokokowy chór, barokowe ławki. Różne style, a jednak z sobą harmonizują. Kościół zbudowali Krzyżacy (– Ja uczniom na lekcji mówię: zbudowali tutejsi ludzie – za panowania krzyżackiego), spalili Szwedzi, odbudował go Jan Sobieski, który ślubował to przed wyruszeniem pod Chocim i słów dotrzymał. Ejankowski każe patrzeć w górę, na sklepienie: zdobi je kartusz.

– Herb samego Sobieskiego – tłumaczy przyciszonym głosem. – Ten kościół to prawdziwa perła architektury Pomorza. A ile można na jego przykładzie omówić okresów historycznych.

Po drugiej stronie szosy wyróżnia się architekturą nowa plebania. Była w gazecie jako przykład architektury nawiązującej do tradycji budownictwa regionalnego. W przerwie pomiędzy starym i nowym budynkiem śmiga postać w sutannie.

– Ksiądz Myszkowski, nasz proboszcz – mówi Ejankowski. – Światły człowiek, doktor, bardzo obrotny. Za jego poprzednika kościół niszczał, a on więcej tutaj zrobił przez kilka lat niż inni przez kilkadziesiąt. Dużo mi pomógł w odtworzeniu historii wsi. Mą dokumenty, nawet takie z podpisami samego Sobieskiego. A jak zbierałem eksponaty do naszego muzeum regionalnego, z ambony zachęcił mieszkańców, żeby mi w tym pomogli, bo to chwalebne dzieło. Sam nosi się z zamiarem otworzenia muzeum w podziemiach kościoła – sztuki sakralnej Pomorza. Ostatnio doprowadziliśmy z proboszczem do zakończenia sporu, który istniał pomiędzy szkołą a kościołem od pięćdziesięciu lat. O budynek, który kiedyś wybudowano wspólnie z parafią. Podano nas potem za przykład właściwej normalizacji stosunków – na samym dole... Gdy w zeszłym roku we wrześniu miało być otwarcie domu kultury z udziałem władz, bo chodziło zarazem o uczczenie Kraziewicza, to proboszcz Myszkowski z ambony ogłosił, że będzie we wsi uroczystość państwowa, będą dostojnicy państwowi i wieś powinna się do niej przygotować, a także wziąć w niej udział.

Mijamy dwa małe budyneczki szkolne i zatrzymujemy się przed okazałym domem kultury. Wykładzina ze smolnych desek na frontowej ścianie łagodzi wielkość bryły. Budynek cofnięty w głąb, przed nim placyk. Wśród kwiatów popiersie z brązu Kraziewicza.

– Wie pan od czego zaczęło się moje zainteresowanie Kraziewiczem? Gdy zamieszkałem w Piasecznie, przyszedł do mnie student, absolwent tutejszej szkoły. Opowiedział mi, jak go zawstydzono na egzaminie wstępnym. A zdawał do Wyższej Szkoły Rolniczej w Olsztynie. Egzamin szedł mu dobrze, ale na koniec zadano mu pytanie: Pan jest z Piaseczna, z czego słynie Piaseczno? A on mówi: z odpustów, przyjeżdża co roku dużo ludzi. A z czego jeszcze? Nie wiedział. To egzaminator go wyręczył: Pan pochodzi z wioski, w której powstało pierwsze w Polsce kółko rolnicze. Zdał, ale tak go zawstydzono, że przyszedł do mnie się pożalić i dowiedzieć czegoś więcej. I ja sobie wtedy pomyślałem: młodzież zna Kościuszkę, Pułaskiego i bardzo dobrze, że zna, ale niedobrze, że nic nie wie o bohaterach swojej wsi... W sześćdziesiątym drugim przypadała setna rocznica założenia kółka – Towarzystwa Rolniczego, bo tak się ono nazywało. Przygotowaliśmy uroczystość, zaprosiliśmy weterana

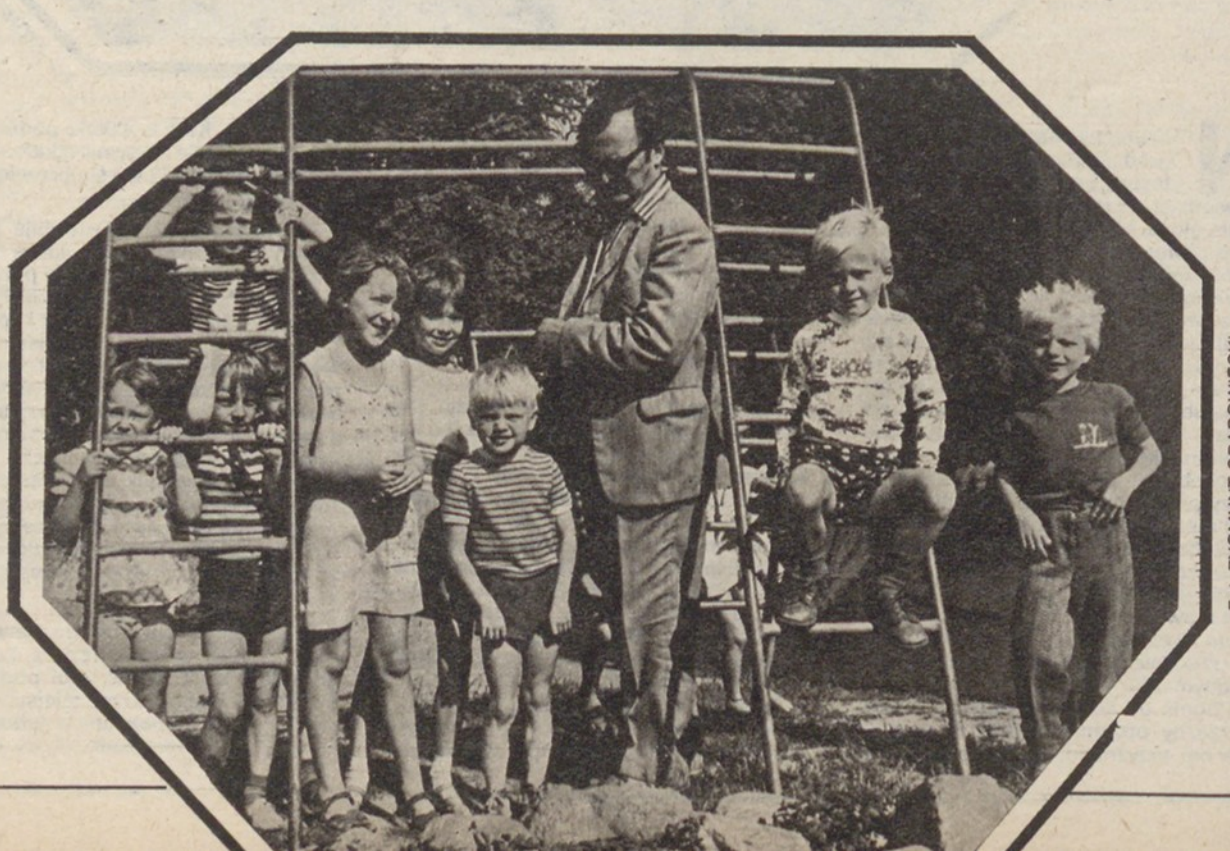

Fot. ZYGMUNT GRABOWIECKI

ruchu chłopskiego z Piaseczna, 80-letniego Chmieleckiego, opowiedział o działalności kółka przed wojną. I jakoś tę postać Kraziewicza przybliżyliśmy miejscowym ludziom, których dziadowie ten pierwszy chłopski samorząd tutaj z nim stanowili. Zacząłem się interesować tą postacią. Zbierać publikacje, dokumenty, po apelu ogłoszonym w „Przyjaciółce" otrzymałem z Warszawy zdjęcie Kraziewicza. Okazało się, że założył w Piasecznie także pierwsze w Polsce koło gospodyń wiejskich. I szkołę rolniczą z polskim językiem nauczania. Że Towarzystwo Rolnicze obok samopomocy spełniało inny ważny cel: walkę z germanizacją. Powstało, aby jego członkowie „poznali się jako dzieci jednej mowy". Tacy ludzie tutaj żyli i mielibyśmy o nich zapomnieć? W 110 rocznicę założenia kółka rolniczego postanowiliśmy zbudować w Piasecznie szkołę imienia Kraziewicza. Powołaliśmy społeczny komitet budowy. Włączyły się kółka rolnicze i zdecydowano, że zbuduje się we wsi dom kultury. I w 115 rocznicę utworzenia kółka dom otworzył podwoje Podobnie jak przy budowie wodociągu, zakładaniu oświetlenia, położeniu chodnika – duży udział w budowie mieli mieszkańcy.

Wchodzimy do środka. Duża sala na parterze ze stylowymi meblami i płaskorzeźbą zajmującą całą ścianę: przedstawia rozwój rolnictwa od Piasta do współczesności. Obok przestronna biblioteka z czytelnią. A na piętrze muzeum: sztandary, dokumenty, fotokopie, stare gazety ludowe. Przedstawiają działalność Kraziewicza i kółek rolniczych w Polsce.

Ejankowski oprowadza po salach domu kultury, ale na górze markotnieje. Dopiero później, w mieszkaniu wyjaśnia powody. Przez dziesięć lat we wsi istniało małe muzeum regionalne. Udało się zebrać ciekawe eksponaty obrazujące dzieje Piaseczna. Znalazły się w nim cztery toporki i rozcieracze do ziarna wyorane w polu przez mieszkańców, świadczące, że już w młodszej epoce kamienia działał tutaj człowiek. Figurki kamienne z wczesnego średniowiecza, stara broń, puchary, piec kaflowy z ubiegłego wieku, lampy naftowe, stare zegary, ulotki, kalendarze, plakaty, mapy, listy z obozów koncentracyjnych, ordery, książki, gazety... Małe muzeum regionalne, utworzone przez Ejankowskiego – za nie między innymi otrzymał nagrodę „Trybuny Ludu".

– Dlaczego zorganizowałem takie muzeum? Chodziło mi o to, żeby pokazać nie tylko związki z Piasecznem tych wielkich, ale także tych małych, którzy również byli wielcy. Ktoś mi kiedyś powiedział: – Pan miał szczęście, że znalazł się w miejscowości o tak bogatej przeszłości. Co by pan robił w takiej, która byłaby pozbawiona tej świetności? Odpowiedziałem, że to samo. Według mnie w każdej, nawet najmniejszej wiosce, były postacie, które warto uchronić od zapomnienia. Nie trzeba szukać tylko tych wielkich, ale doszukiwać się wielkości wśród mniejszych. Zastanawiałem się, jako nauczyciel historii i wychowania obywatelskiego: na jakich bohaterach mają wzorować się młodzi, od jakich uczyć się wrażliwości i uczynności społecznej. I powiedziałem sobie tak: muszę im mówić o bohaterach wielkich, ale przybliżyć ich wyobraźni także prostych ludzi z naszej wsi, takich jak oni, ale godnych okazywania im szacunku. A źródła historii stale wzbogacać o różnego rodzaju pamiątki z przeszłości związane z naszą wsią i okolicą. Założyliśmy księgi pamięci. Spisaliśmy dzieje okupacyjne poszczególnych rodzin i okazało się, że mieszkańcy Piaseczna walczyli na różnych frontach, często bardzo dzielnie. Na przykład Czesław Rajski był dekorowany we Włoszech przez majora Sucharskiego. Dał nam do muzeum zaświadczenie z podpisem Sucharskiego. Przekazano nam listy pisane przez tych, którzy zginęli w obozach koncentracyjnych. Zainteresowałem się postacią nauczyciela, który uczył w Piasecznie podczas wojny. Zaciekawiło mnie to, że nikt we wsi o nim złego słowa nie powiedział, chociaż przyjął II grupę narodowościową. Co się okazało? Że od 1942 roku do końca wojny ukrywał na strychu w szkole dwie osoby ścigane przez gestapo. Na drzwiach pomieszczenia, w którym się ukrywali, stała szafa z ruchomą tylną ścianą. Wydobywał od hitlerowców informacje o zamiarach w stosunku do mieszkańców i ostrzegał przed niebezpieczeństwem. Nie zabraniał dzieciom w szkole mówić po polsku. Zebrałem o nim relacje od tych, których ukrywał i mieszkańców, i wykazałem, że odegrał tutaj ważną rolę, że przyjęcie II grupy było też jedną z form walki z okupantem. Gdyby jej nie przyjął nie mógłby uczyć i wieś miałaby pewnie nauczyciela Niemca. Zgromadziliśmy w muzeum zdjęcia z pierwszych lat po wojnie, mapkę pierwszego obwodu szkolnego narysowaną odręcznie przez kierownika szkoły. Dokumenty z pierwszych powojennych lat.

Budynek, w którym mieściło się nasze mini-muzeum był dzierżawiony. Dzierżawa wygasła i musieliśmy zwolnić pomieszczenia. Myśleliśmy, że dla muzeum znajdzie się miejsce w domu kultury. Władze kółek rolniczych finansowały budowę i zdecydowały, że będzie muzeum, ale poświęcone tylko historii samorządu chłopskiego. Zabrakło miejsca na nasze eksponaty. Zgromadzone z takim wysiłkiem leżą teraz w piwnicy. Mnie to bardzo zabolało. Żeby w takim dużym domu kultury nie znaleźć miejsca dla ukazania historii wsi? Przecież to, że Kraziewicz właśnie w Piasecznie założył pierwsze kółko rolnicze nie było przypadkowe. Piaseczno promieniowało w tym czasie na całą okolicę. I bez ukazania tych związków ekspozycja o Kraziewiczu jest uboższa. Postanowiłem, że będę walczył o umieszczenie w domu kultury także muzeum regionalnego.

Ejankowski przygotowuje monografię Piaseczna, w której chce ukazać wczoraj i dziś wsi. Ocalić od zapomnienia postacie tych, którzy zasługują na pamięć. Przygotowuje także monografię kółek rolniczych w Piasecznie.

W tym roku SKR w pobliskiej Nicponi po raz drugi z rzędu zajęła pierwsze miejsce w kraju. Czy to tylko przypadek, że spadkobierczyni tradycji, dzieła zapoczątkowanego przez Kraziewicza osiąga takie wyniki? Czy to przypadek że z Piaseczna jest najmniejszy odpływ młodzieży, nie ma problemu następców, a jednocześnie jest najwięcej młodych gospodarzy w całej okolicy ze średnim wykształceniem? Że wieś uważana jest za gospodarną, zadbaną? Ja uważam, że historia i teraźniejszość mają ze sobą ścisły związek. I to na przykładzie Piaseczna staram się udowodnić.

Zaglądam do wstępu monografii wsi. „Tu ludzie żyją jakoś inaczej. Nie jest tak, żeby każdy ciągnął tylko w swoją stronę. Można z nimi wiele zrobić. Coś im z siebie dałem i oni mi wiele dali. Uważam, że na nauczycielu ciąży odpowiedzialność za wyrobienie kulturalne i społeczne wsi, gdyż to było i powinno być nadal domeną szkoły. Bo jeśli nie ona to kto?"

– Wie pan, ja jeszcze wierzę w ostatni mój czyn społeczny. Budowę szkoły imienia Kraziewicza. Dom kultury był potrzebny, ale szkoła jeszcze bardziej. Wierzę, że chociaż przy wmurowaniu kamienia węgielnego będę obecny. Nie musi to być w Piasecznie, może być w Gniewie. Bo ja teraz muszę patrzeć na podwórko całej gminy, nie tylko Piaseczna.

Od trzech lat mgr Jan Ejankowski jest gminnym dyrektorem szkół w Gniewie, ale środkiem świata pozostało Piaseczno. Mała wieś przy E-16.

Edmund Szczesiak

Pewien wczasowicz spędzający urlop w Ustroniu Morskim zażądał od władz gminy zwrotu wpłaconej przy meldunku opłaty klimatycznej motywując to tym, że pogodę miał marną. Letnicy wypoczywający w innych miejscowościach Wybrzeża wysuwali identyczne żądania bądź zgoła – odmawiali wpłacenia klimatycznego. Nie jednak dlatego, że nie świeciło im akurat słońce. Oświadczali, że nie będą płacić, bo ze względu na przepełnione szamba powietrze w okolicy trudno byłoby określić mianem balsamicznego, bo dokuczają im komary, bo chleba nie dowożą im na czas, bo lokalne autobusy wypadają z kursów, bo awarie miejscowego wodociągu zdarzają się zbyt często. Chociaż powody podawali różne, jedno z nich wynika niezbicie: konieczność opłacania taksy klimatycznej złości wielu. I to nie tylko ostatnio: już w zeszłym roku dochodziło do protestów, jako że właśnie wtedy nastąpiło wydatne podniesienie ceny klimatycznego – w wielu miejscowościach Wybrzeża o ponad sto procent.

Klimat do uzdrowienia

ANNA KRAJEWSKA

Wczasowicze nie chcą płacić klimatycznego, nie korzystając z efektów wydatkowania swoich pieniędzy.

Fot. CAF

„Vademecum podatnika"*) informuje, że opłata klimatyczna jest pobierana od osób przebywających okresowo w celach wypoczynkowo-zdrowotnych w miejscowościach uznanych za uzdrowiska oraz w innych miejscowościach mających korzystne właściwości klimatu, krajobrazu oraz warunki środowiskowe umożliwiające stały lub sezonowy ruch turystyczny. Do lat siedemdziesiątych wpływy z tych opłat były odprowadzane do budżetu centralnego, obecnie pozostają na miejscu, tam gdzie uiścili je wczasowicze.

Z, potwierdzającym regułę, wyjątkiem Ustronia Morskiego. Ustronie zostało zmuszone do przekazywania całej kwoty na – utworzony decyzją rządową – Fundusz Rozwoju Kołobrzegu i Okolic. Naczelnik gminy Ustronie Benedykt Świat skarży się teraz, że nic z tych pieniędzy nie ma, bo władze Kołobrzegu dbają w pierwszym rzędzie o rozwój swego własnego miasta, a dopiero potem jego okolic... No, ale jest to sytuacja rzeczywiście wyjątkowa, za którą winę ponoszą lokalne układy.

Największe formalnie wpływy z klimatycznego mają następujące miejscowości Wybrzeża: Dziwnów, Hel, Jastarnia, Kamień Pomorski, Kołobrzeg, Międzyzdroje, Mrzeżyno, Pobierowo, Sopot i Świnoujście (oraz uzdrowiska górskie: Krynica, Muszyna i Zakopane). Zostało to zawarowane specjalnym przepisem mówiącym o tym, że lokalne władze tych miejscowości mają prawo do pobierania najwyższych taks klimatycznych. Najwyższe taksy oznaczają za jeden dzień pobytu: dla dzieci – 2 zł, dla dorosłych korzystających z bezpłatnego leczenia uzdrowiskowego oraz dla ludzi przebywających na zorganizowanych wczasach pracowniczych – 5 zł oraz dla turystów indywidualnych – 10 zł dziennie. To rzeczywiście nie jest mało. Z samych tylko taks Świnoujście zbiera w ciągu – krótkiego przecież - sezonu aż 16 milionów złotych.

Miejscowości nie wciągnięte na listę uprzywilejowanych same wyznaczają wysokość klimatycznego i gminne rady narodowe podejmują w związku z tym specjalne uchwały. Rozmaicie do zagadnienia podchodząc. Gminna Rada Narodowa w Rewalu zrezygnowała z pobierania pieniędzy „klimatycznych" nie tylko od rencistów – co uczyniono także w innych miejscowościach – lecz także od dzieci

alkoholików przebywających nad morzem na specjalnych obozach oraz od samotnych matek, ten ładny gest dowodzi, że żądza pieniędzy nie zabiła w radnych z Rewala wrażliwości na bolączki naszego życia społecznego. Inaczej potraktowała sprawę Gminna Rada Narodowa w Mielnie. Ponieważ Mielno nie znalazło się w gronie miejscowości uprzywilejowanych, którym zezwolono na pobieranie najwyższych opłat klimatycznych, poradziło sobie inaczej: utworzyło lokalny fundusz rozwoju kultury fizycznej, na który trzeba płacić drugie tyle co za klimatyczne, a ponadto wprowadziło płatny wstęp na plażę (100 zł miesięcznie). I w sumie władze tej gminy ciągną od swych gości więcej niż władze uprzywilejowanego formalnie Świnoujścia (które ma plażę bezpłatną).

Niezależnie od tego, czy władze gmin nadmorskich są bardziej czy mniej wymagające w stosunku do swych gości, można przyjąć, że pieniądze, które uzyskują obecnie od nich, stanowią przeciętnie połowę wszystkich środków finansowych, którymi w ciągu roku dysponują; inaczej mówiąc – przybyło im jakieś 50 procent pieniędzy w porównaniu z okresem sprzed paru lat. Nie jest to więc bagatela. I, rozumując logicznie, efekty wydatkowania dodatkowych pieniędzy powinny być widoczne. Ten dodatkowy zastrzyk finansowy powinni zauważyć przy tym przede wszystkim wczasowicze, bo zgodnie z odpowiednimi przepisami, na ich własne potrzeby w pierwszym rzędzie te finanse mają być przeznaczone. (W Dzienniku Ustaw nr 49 z 1 grudnia 1972 pod pozycją 313 można przeczytać, że „środki funduszu uzyskane z wpływów z opłaty uzdrowiskowej przeznacza się w całości na zapewnienie porządku, higieny i estetyki w gminie oraz na zaspokojenie potrzeb kulturalnych kuracjuszy, wczasowiczów, turystów i ludności gminy", o miejscowych mówi się tam więc na szarym końcu). Lecz truizmem jest twierdzenie, że wczasowicze niczego podobnego ostatnio nie dostrzegają: plaże nadmorskie jak za dawnych lat są zaśmiecone, komary buszują w najlepsze, a gdy leje – letnicy nudzą się, bo rozrywek kulturalnych im nie zapewniono.

Gdzie podziewają się pieniądze z opłat klimatycznych? Kiedy o to pytałam naczelników kilku nadmorskich gmin, pierwszym ich odruchem było zdziwienie: dotąd nikt właściwie w ten sposób sprawy nie stawiał, nikt też nie zmuszał ich do wyliczania się z uzyskiwanych przez nich środków specjalnych. Naczelnik gminy Rewal Ryszard Matysiak nie potrafił mi powiedzieć na temat taks nic konkretnego, wezwał na pomoc główną księgową gminy, ale i ta była zdeprymowana. Usłyszałam, że za klimatyczne wybudowano toalety na plażach – no, nic wielkiego, tandeta – lecz jednak. A dlaczego właśnie tandeta, skoro w zeszłym tylko sezonie Rewal wyciągnął od wczasowiczów 5 milionów złotych? Odpowiedzi nie było. Koniec końców wyszło na jaw, że wpływy z tych opłat poszły głównie na pensje dla miejscowych urzędników, dla których nie udało się uzyskać etatów, a także na remonty ich domów. Gmina w Mielnie, tak bezwzględnie wyciągniętych od swych gości, wpływów częściowo wcale nie wykorzystała, w związku z czym pieniądze musiała przekazać do rejonowego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej. Gmina Dziwnów przeznaczyła zeszłoroczne wpływy z klimatycznego na zakup róż i żywopłotów, co byłoby sympatyczne, gdyby nie fakt, że domy w tej miejscowości są odrapane, czego najdorodniejsze nawet róże nie są w stanie przesłonić. Ale naczelnik Dziwnowa Tadeusz Brzozowski jest zdania, że odnawianie domów nie ma sensu: przy wysokiej wilgotności dziwnowskiego mikroklimatu nowe elewacje trzeba by kłaść co roku... I jedyną właściwie miejscowością nadmorską, która potrafiła wyliczyć się z klimatycznego, przy czym wyliczanka ta zabrzmiała w miarę racjonalnie, było Świnoujście. Jak poinformował jego naczelnik Zenon Pacześny, z pieniędzy „klimatycznych", wziętych od wczasowiczów w zeszłym roku, wyremontowano stadion i zakupiono różne urządzenia sportowe, urządzono – i urządza się w tym sezonie – szereg bezpłatnych imprez kulturalnych, m.in. w muszli koncertowej, zainstalowano nowe latarnie na ulicach, odmalowano domy, uporządkowano parki oraz skwery. Ale jedno Świnoujście to stanowczo za mało.

Pytałam oczywiście naczelników, dlaczego pieniądze z opłat klimatycznych wykorzystują w tak nierozważny sposób, dlaczego, ujmując rzecz inaczej, nie widać dotąd na Wybrzeżu tych zostawianych tu przez letników milionów. Naczelnik Dziwnowa – ten od kwiatka do kożucha – przyznał, że i on dostrzega pewne nieprawidłowości, zwłaszcza porównując zagospodarowanie turystyczne Wybrzeża z zagospodarowaniem np. Nowosądecczyzny; jest zdania, że gospodarze wczasowisk nadmorskich oraz górskich powinni spotkać się w celu wymiany doświadczeń, może wtedy nastąpi na Wybrzeżu poprawa... Inni naczelnicy uważali jednak, że wszystko jest w porządku. I oświadczali, że korzyści z pieniędzy klimatycznych nie widać dlatego, że tych pieniędzy jest po prostu za mało. Gdybyśmy mieli możliwość pobierania od wczasowiczów opłat klimatycznych, tak jak to robią władze lokalne w górach, wtedy moglibyśmy poważnie pomyśleć o uporządkowaniu terenu i o likwidacji przynajmniej niektórych zaniedbań komunalnych – mówili. Dodają, jednak, że i wtedy sprawa nie byłaby przesądzona. Bo weźmy kwestię czystości. Samymi pieniędzmi okolicy się nie uporządkuje, tymczasem zaś brak sprzętu zmechanizowanego do sprzątania, zwłaszcza wozów asenizacyjnych. W tym roku województwo szczecińskie otrzymało zaledwie 4 takie wozy, przy czym na Wybrzeże szczecińskie przydzielono tylko jeden. Zresztą, gdyby nawet sprzęt się znalazł, potrzeba ludzi do pracy, a z nimi też są kłopoty.

Kiedy pieniądze od wczasowiczów odprowadzane były do budżetu centralnego, lokalne władze nadmorskich miejscowości urlopowych rozkładały bezradnie ręce: nie mogą uporządkować jak należy swoich włości, bo nie mają za co. Teraz pieniądze od wczasowiczów zostają na miejscu, co więcej, wczasowiczów zmuszono do płacenia ich znacznie więcej niż niegdyś, lecz lokalne władze po dawnemu rozkładają ręce i opowiadają o niemożności. Jak długo jeszcze?

Niebawem w gminach przystąpią do podliczania wpływów z klimatycznego za bieżący sezon oraz rozważań, na co te wpływy wydać. Miejmy nadzieję, że przystąpią do tego rozważniej i z większą niż dotychczas wiarą w skuteczność swych poczynań, z większą energią. Miejmy również nadzieję, że kontrola wydatkowania pieniędzy z klimatycznego będzie ostrzejsza niż dotychczas. Nie może być tak, by od wczasowiczów, pobierano w przyszłości coraz większe sumy za coraz bardziej nieładnie pachnące powietrze.

Anna Krajewska

*) **Janusz Białobrzeski: Obywatel a podatki. Vademecum podatnika. Państwowe Wydawnictwo Prawnicze Warszawa 1977.**

TOTALIZATOR SPORTOWY

Pamiętaj! Kto gra – zawsze ma szanse

Biorąc udział w podwójnych zakładach „DUŻEGO LOTKA" w dniu 3.09.1978 r. stworzysz sobie szanse na uzyskanie wysokich wygranych regulaminowych, a ponadto na wygranie malucha.
Dla wszystkich uczestników tej gry dodatkowo przeznacza się

20 samochodów fiat 126p

Zapraszając do udziału w grze życzymy wysokich wygranych i szczęścia w losowaniu premii.

K-5685

ŚWIADECTWO DOJRZAŁOŚCI

Zdjęcia:
ZBIGNIEW TRYBEK

ŚWIADECTWO DOJRZAŁOŚCI

We wąż rosnącej statystyce p i c i a, jeden wskaźnik niepokoi szczególnie: ożycie alkoholu wśród młodzieży. Wiadomo powszechnie o wyjątkowo niszczącym wpływie wódki na młode organizmy, a jednak ponury obyczaj trzymuje się nadal, tak jak i pogląd, że dopiero „setka" świadczy o prawdziwej dojrzałości człowieka. „Pij, pij, coś ty dziecko?" – te słowa przełamują opory. I szkoła, i dom, i organizacje młodzieżowe są bezradne wobec szerzącego się pijaństwa wśród młodzieży, nie potrafią trzeźwiąco na nich płynąć.

Niech wydrukowany przez nas fotoreportaż stanie się ostrzeżeniem dla tych, którzy dojrzałości i dorosłości szukają na dnie butelki. Publikowane zdjęcia pochodzą z różnych miejsc kraju, robione były w różnych terminach i sytuacjach. Nie twierdzimy, że finał wszystkich bali maturalnych, zabaw, prywatek był taki jak na ostatniej fotografii. W jednym, drugim czy dziesiątym przypadku to się tak na pewno nie kończyło, w każdym jednak tak się skończyć mogło.

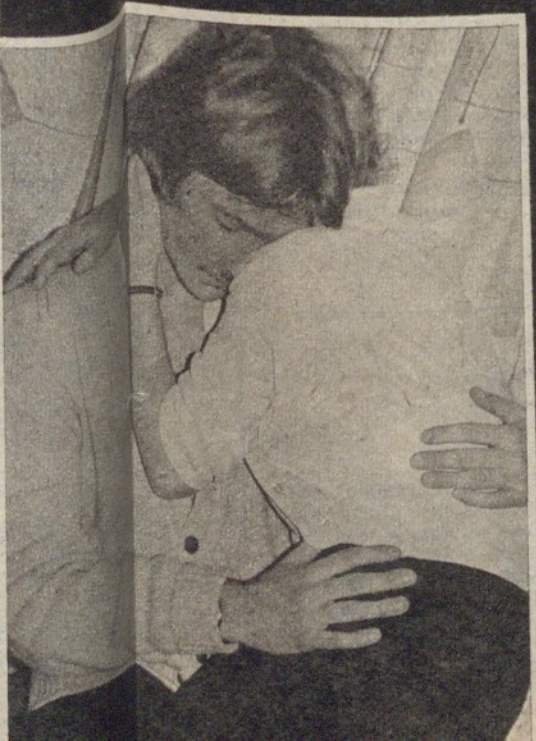

Zdjęcia:
Zbigniew Trybek

Po naszych publikacjach

Śledź w ziemi

W związku z notatką pt. „Śledź w ziemi" zamieszczoną w tygodniku „Czas" nr 25(177) z dnia 18 czerwca 1978 Zjednoczenie Gospodarki Rybnej po wnikliwym przeanalizowaniu całokształtu poruszonych spraw informuje, że zawsze chętnie i życzliwie przyjmuje wszelkie uwagi krytyczne o pracy zgrupowanych w branży przedsiębiorstw, nawet jeśli dotyczą faktów odosobnionych.

Przeprowadzono szczegółowe postępowanie wyjaśniające, w trakcie którego ustalono co następuje:

Centrala Rybna w Gdyni w porozumieniu z Zarządem Głównym Zrzeszenia Rybaków Morskich ustaliła przyjmowanie ryb w dniach wolnych od pracy. Odbioru dokonano w dniu 6 maja 1978 w magazynie Punktu Skupu w Orłowie w ilości 1891 kg od 6 rybaków indywidualnych (całość złowionej ryby).

Magazyny Centrali Rybnej w dniach wolnych od pracy tj. 8 i 9 maja 1978 były czynne i mogły przyjąć każdą ilość zgłoszonej ryby, czego dowodem były przejęcia magazynowe.

W dniu 9 maja 1978 od rybaków indywidualnych z Gdyni-Orłowa przyjęto 632 kg śledzia. Innych zgłoszeń od rybaków indywidualnych z Gdyni-Orłowa w tym okresie nie było.

Zaznaczyć należy, że w dniu 8 maja 1978 pełnione były dyżury służb handlowych, między innymi osobiście dyżur pełnił I zastępca dyrektora CR w Gdyni. W tym dniu również pracowały chłodnie PPDiUR „Dalmor", które dokonują usługowo mrożenia ryb świeżych m.in. dla CR Gdynia.

Według oświadczenia dyrekcji CR każdą ilość zgłoszonych ryb od rybaków indywidualnych odbierano, o czym świadczą wystawione dowody przyjęć. Ponadto CR nie otrzymała innych zgłoszeń, co potwierdza również sekretarz Zarządu Głównego ZRM oraz magazynier Punktu Skupu w Gdyni-Orłowie i rybacy.

Przedstawiciele Zarządu Głównego ZRM, jak również przedstawiciele samych rybaków, nie wnoszą zastrzeżeń do form i czasu odbioru ryb w dniach wolnych od pracy w maju br.

Jednocześnie nadmieniamy, że problem zepsucia ryb badany był przez organa MO i prokuratury, które nie dopatrzyły się zaniedbań ze strony pracowników Centrali Rybnej. Bezspornie stwierdzono, że ryby uległy zepsuciu w rozstawionych sieciach w morzu. Utopiona, zniszczona i wymieszana z wodorostami przez sztorm ryba była własnością jednego rybaka indywidualnego, który własnymi siłami nie zdołał je wybrać w dniach 6–9 maja 1978 r. Z rozmowy przeprowadzonej z rybakami z Orłowa wynika, iż winę za ten stan rzeczy ponosi wyłącznie sam rybak, a ilość zepsutej ryby oszacowano na około 500 kg.

W dniach 10 i 14 maja 1978 r. CR dostarczała śledzie bałtyckie świeże do sieci detalicznej. W dniach 11–13 maja 1978 z powodu sztormowej pogody nie było dostaw ryb świeżych, były natomiast realizowane dostawy śledzi bałtyckich mrożonych. Tylko do własnych sklepów w Gdyni i Starogardzie Gdańskim CR dostarczyła w ciągu pięciu kolejnych dni poczynając od 10 maja 1978 następujące ilości śledzi świeżych i mrożonych: 1020 kg i 300 kg; 888 kg i 264 kg, 1368 kg i 408 kg; 696 i 72 kg; 2035 kg i 650 kg.

W ramach dostaw akwizycyjnych na terenie Gdyni zrealizowanych do gastronomii w dniu 10 maja 1978 dostarczono 660 kg śledzia bałtyckiego świeżego, a w dniu 14 maja – 1210 kg.

W okresie maja br. za wyjątkiem dni sztormowych, rynek zaopatrywany przez CR w Gdyni posiadał w ciągłej sprzedaży ryby świeże bałtyckie, co potwierdziły bieżące kontrole przeprowadzone przez inspektorów Państwowej Inspekcji Handlowej w Gdańsku. Stan ten osobiście potwierdził zastępca okręgowego inspektora ob. mgr inż. Jerzy Kalta.

W świetle dowodów i wyjaśnień zebranych w trakcie kontroli, artykuł zamieszczony w tygodniku „Czas" nie odzwierciedla stanu faktycznego. Autor ukryty za inicjałami J.W. nie wykazał sumienności i staranności w konstrukcji notatki prasowej, jak również precyzowaniu wniosków.

zastępca dyrektora Zjednoczenia Gospodarki Rybnej
mgr Kazimierz Nowaczyk

Dyrekcja Zjednoczenia Gospodarki Rybnej zapomina o jednym – w naszym tygodniku był opublikowany fotoreportaż, a więc zdjęcia i skromny komentarz. Trudno się zgodzić z tym, że zdjęcia mówiły nieprawdę. Pokazały stan na przystani rybackiej w Gdyni-Orłowie w momencie przypływu i czyszczenia sieci ze zgniłej ryby przez kilku rybaków (podkreślam kilku, a nie jednego, jak pisze w liście ZGR). O tym jak doszło do takiej sytuacji informuje krótki tekst, którego treść, niestety, nie została w żadnym stopniu podważona przez ZGR. Tak się bowiem składa, że o tej sprawie pisało jeszcze kilka pism ogólnopolskich, a treść listu ZGR pasuje do naszej publikacji jak pięść do nosa.

Ponieważ dyrekcja ZGR w swoim piśmie wymienia moje inicjały zobowiązuje to mnie do wykazania kilku istotnych potknięć autorów pisma ZGR, które mogłyby zmylić czytelnika.

Dziwi, że dyrekcja ZGR zadała sobie tyle trudu z zebraniem przedstawionych dowodów, a popełniła błąd podstawowy – nie wysłuchała zainteresowanych rybaków, którym ryby zmarnowały się w sieciach. Dyrekcja rozmawiała ze swoimi podległymi pracownikami z Centrali Rybnej w Gdyni oraz przedstawicielami ZG ZRM, którzy w tę sprawę są zamieszani (ustalili harmonogram pracy CR i rybaków na wolne dni od pracy i nie założyli, że taki harmonogram powinien być w miarę elastyczny, aby w wypadku ławicy, jak to miało miejsce w opisywanym przypadku, mógł zapewnić normalny, sprawny odbiór złowionych ryb). Przedstawiciele rybaków – to w oczach ZGR – jeden rybak, który akurat nie zastawił sieci na śledzie (zresztą jako mąż zaufania rybaków także pośrednio uczestniczył w ustalaniu harmonogramu pracy magazynów CR). Nic nie stracił, a więc nie był poszkodowany i zainteresowany w sprawie. Jedyny jego interes to załagodzenie sprawy, aby CR w przyszłości nie odkuwała się na rybakach z Orłowa za tę „aferę". Natomiast drugi rybak – to były rybak, emeryt, którego żona – magazynierka punktu skupu CR – jest związana ze sprawą, lecz z drugiej strony tzn. odbiorcy ryb.

A więc śmieszne jest to co pisze ZGR w swoim liście, że „przedstawiciele rybaków nie wnoszą zastrzeżeń do form i odbioru ryb w dniach wolnych od pracy w miesiącu maju br.". Podobnie niepoważne jest pisanie przez dyrekcję, która ponoć wnikliwie zbadała sprawę, że zmarnowały się ryby „tylko" jednemu rybakowi. Zdaję sobie sprawę z tego, że ZGR nie było na miejscu w Orłowie w dniach przywozu z morza zdechłych ryb (dużą pomocą mógłby służyć nasz fotoreporter, który ma w swoim archiwum wiele innych zdjęć pokazujących sytuację nie jednego, jak pisano w tekście, lecz wielu rybaków). Tym bardziej dziwi więc dość powierzchowne zbadanie tej kwestii przez pracowników ZGR w Szczecinie.

ZGR chce zamydlić oczy czytelnikom, że jednak 6 maja CR odbierała od rybaków śledzie, a więc był odbiór. Dyrektor ZGR zapomina, że było to w przeddzień wolnych dni, co zresztą zostało ujęte w publikacji.

Czyżby ZGR pogubili kalendarze? Przemawia za tym także fakt pomylenia dni dostawy śledzi na rynek woj. gdańskiego. Co z tego, że CR rzuciła trochę ryb w tydzień po mojej penetracji sklepów rybnych. Zresztą i po tygodniu sytuacja nie była najlepsza – do miasta przemysłowego Starogard Gdański dostarczono 13 maja 72 kg śledzi mrożonych! To są chyba żarty ze strony ZGR, żeby jeszcze tym się chwalić. Z ponad 40 tys. miasta około siedem rodzin dostało mrożone śledzie i to jest sukces gospodarki rybnej w województwie nadmorskim? Wszyscy wiemy o kłopotach z połowem śledzi, lecz nie jest to powód ani do ochrony działalności ZGR, ani do rozgrzeszania za złą organizację odbioru złowionych ryb.

ZGR podaje, że w wolne dni magazyny CR w Gdyni były czynne. Mało tego, zastępca dyrektora CR osobiście czekał na rybaków. Uściślijmy rzecz – rybacy z Orłowa według umowy odstawiają połowy do magazynu przy swojej przystani i tam, niestety, nikt w tamtych dniach nie chciał odbierać śledzi. Wiedząc o tym nie wypływali w morze, ryba zdechła i stąd cała sprawa.

O tym, że dyrektor siedział w swoim gabinecie w jednym z krytycznych dni, wie tylko on i jego współpracownicy. Trudno, żeby rybacy śledzili dyrektora i pracowników CR. Nie na tym polega prawidłowa organizacja pracy.

ZGR wykorzystuje fakt odstawienia śledzi przez rybaków w drugim dniu (tj. w poniedziałek, 9 maja br.) na swoją korzyść, ciesząc się – a jednak odbieraliśmy. ZGR nie wchodzi w szczegóły, choćby w taką „drobnostkę" jak dowóz śledzi do głównych magazynów CR w Gdyni wynajętymi przez rybaków taksówkami. Nie dość, że namęczyli się z wyłowieniem (lekki sztorm) musieli jeszcze organizować transport (zresztą strażnicy nie chcieli wpuścić ich na teren portu, bo były to samochody prywatne). CR została postawiona przed faktem dokonanym, gdyby nie odebrali tych śledzi prokuratura miałaby zajęcie.

ZGR zasłania się działaniem MO i prokuratury. Organa te nie dopatrzyły się uchybień w kwestiach formalnych tzn. czy CR nie odebrała ryb z postawionych przez rybaków skrzynek. Całe szczęście ZGR i jednostek jemu podległych. Sprawa nie jest kryminalna, co zostało mocno podkreślone w publikacji. Sprawa jest większa bo wymowna społecznie. Pod względem formalnym było wszystko w porządku, lecz ZGR zapomina o jednym: MO i prokuratura nie badały organizacji pracy w CR i przyczyn niedogadania się odbiorców z dostawcami. Tę sprawę powinno zbadać właśnie Zjednoczenie Gospodarki Rybnej, jako jednostka nadrzędna CR w Gdyni...

Nie wydaje mi się, aby czytelnicy mieli jeszcze niejasności w omawianej sprawie. Chcieliby mieć od ZGR przede wszystkim dużo smacznych ryb. A to wymaga pracy rzeczywistej, a nie pisania nic nie dających odpowiedzi na publikacje o sprawach autentycznych i wymagających poprawy nie w słowach, lecz w czynach.

Janusz Wikowski

Miejsce na szczycie

Redakcjo Kochana. Litości! Nie zmieniajcie nazwisk naszych najlepszych alpinistów. W numerze 31 (30 lipca) – Janusz Kurczab stał się Kurczakiem! A poza tym – również błędnie podano nazwę wierzchołka – Kanczendżanga. Prawidłowa nazwa brzmi: Kangczendzenga (po tybetańsku – oznacza Pięć Skarbnic Wielkiego Śniegu. W imieniu członków Klubu Wysokogórskiego „Trójmiasto" – proszę o sprostowanie.

Ewa Kubska

Hawana 78

Zdjęcia: MACIEJ SOCHOR (CAF)

Świadomi swoich racji

Rozmowa z Krzysztofem Jakubowskim, kierownikiem wydziału zagranicznego Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, uczestnikiem Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów – Hawana 78.

– Międzynarodowy ruch studencki był wielokrotnie oskarżany o dążenie do hermetyczności w łonie organizacji młodzieżowych. Czy w przypadku festiwalu hawańskiego zarzut ten może być podtrzymany?

– Program dyskusji politycznej w Hawanie obejmował większość aktualnych zagadnień, o których mówi świat. Była to więc debata o pokoju, rozbrojeniu, walce krajów trzeciego świata o całkowite, szeroko rozumiane wyzwolenie. Poruszano kwestie tzw. nowego ładu ekonomicznego, międzynarodowej współpracy gospodarczej itd.

Każde z sześciu centrów, będących forum dyskusji festiwalowej, było wyspecjalizowane tematycznie. Problematykę studencką dyskutowano w odrębnym, siódmym centrum, chociaż międzynarodowy ruch studencki zajmuje się tymi samymi sprawami co reszta ruchu młodzieżowego. Toteż siłą rzeczy w naszym, jednym studenckim centrum poruszano taki sam konglomerat spraw jak we wszystkich pozostałych centrach łącznie. W tych warunkach koniecznością stało się ustalenie priorytetów i świadome zrezygnowanie z pewnych spraw.

– Jakich?

– Na przykład z dyskusji o działalności międzynarodowych koncernów. Ale wracając do odrębności tematyki studenckiej w Hawanie... Stała komisja festiwalowa dokonała podziału festiwalu na takie m.in. programy, jak polityczny, sportowy, dziecięcy, czy wreszcie studencki. Z punktu widzenia organizacji festiwalu był to być może podział pożyteczny. Patrząc na tę sprawę z innej strony, choćby merytorycznej, trzeba powiedzieć, że to rozgraniczenie nie zawsze było korzystne. Przecież program studencki był par excellence programem politycznym. Dyskusje studenckie były najbardziej upolitycznione i autentyczne. Jest to zgodna opinia wszystkich obserwatorów. Nikogo nie trzeba było zapraszać do zabrania głosu. Nie było ani jednej imprezy studenckiej, i nie tylko studenckiej, żeby wszyscy zdążyli się wypowiedzieć.

– Otóż to. Czy nie było to powodem, powiedzmy, nieporozumień?

– Festiwal udokumentował w sposób jednoznaczny jedność postępowego ruchu młodzieżowego. Nie chcę przez to powiedzieć, że cały festiwal przebiegł bez komplikacji. W tak olbrzymiej imprezie nietrudno o potknięcie. Już przed festiwalem z udziału w nim wycofała się międzynarodówka chadecka.

– Z jakiego powodu?

– Powodu nie znamy. Możemy, co najwyżej, spekulować. Ale najbliższe chyba prawdy jest to, że międzynarodówce tej nie na rękę było wzięcie udziału w festiwalu, który miał szansę, i szansę tę wykorzystano, zakończyć się pełnym sukcesem.

Wracając do wątku demokratyczności dyskusji...

Każdy miał możność wypowiedzieć się. O racji decydowały tylko argumenty. Głos był udzielany poszczególnym narodowym komitetom. Wiele delegacji krajów zachodnich składało się z przedstawicieli różnych ugrupowań, bywało że i ponad pięćdziesięciu. W ich imieniu mógł przemawiać tylko jeden.

– Kto decydował o wyborze?

– To była wewnętrzna sprawa delegacji każdego kraju. Dodam, że każdy miał prawo i możliwość złożyć swój głos na piśmie do protokołu.

– Powiedziałeś, że dyskusje były autentyczne. Można się domyślać, że nie brakowało odmiennych poglądów. Czy zawsze można było dojść do porozumienia?

– Jak już powiedziałem, festiwal był manifestacją jedności. Wszyscy, którzy przyjechali do Hawany, byli świadomi swoich racji, stanowisk w poszczególnych kwestiach. W dyskusjach próbowaliśmy znaleźć wszystko to, co nas łączy, co możemy wspólnie zrobić dla szeroko rozumianego postępu. I to było właśnie charakterystyczne dla hawańskiego festiwalu. Ta świadomość nadrzędności wspólnych spraw spowodowała, że był to wiodący wątek dyskusji. Nie wyklucza to wszak ostrych sformułowań.

– Ale czego one dotyczyły? Kto kogo atakował i za co?

– Kampania praw człowieka w stylu zapoczątkowanym przez prezydenta Cartera znalazła swoje odbicie w dyskusji. Na początku festiwalu kilka delegacji próbowało podjąć dyskusję w tym tonie i na ten temat na szerokim forum. Później z tej koncepcji zrezygnowano, ale wracano do sprawy w dyskusjach bilateralnych. Na przykład studenci francuscy i brytyjscy podjęli z nami taką dyskusję. O prawach człowieka rozmawialiśmy z nimi pryncypialnie i bez kompleksów. Oni zaczęli tę dyskusję, a my ją zakończyliśmy, gdyż w naszym ręku były argumenty.

– Jakie jeszcze kwestie polityczne rodziły kontrowersje?

– W dyskusjach politycznych znalazły się te wszystkie trudne sprawy, o których mówi cały świat.

– To znaczy?

– Trudno wymienić wszystkie. Ograniczę się do przykładów. Polityka prezydenta Sadata wobec Izraela i palestyńskiego ruchu oporu, czy chociażby dyskusja studentów bułgarskich i jugosłowiańskich o problemach narodowościowych i granicznych interesujących oba kraje.

– Co należy uznać za największe zaskoczenie dla nas?

– Chyba to, że festiwal został zdominowany przez problematykę krajów trzeciego świata. Wielokrotnie zadawaliśmy sami sobie pytanie – dlaczego?

– I do jakich wniosków doszliście?

– Powód pierwszy, być może banalny, są to sprawy faktycznie w tej chwili najważniejsze dla świata. Wiadomo dlaczego – potencjał ludnościowy, zasoby bogactw naturalnych, nierównomierność rozwoju społeczno-gospodarczego i wynikające z niego konflikty itd. Po drugie – samo miejsce festiwalu. Kuba stanowi symbol dla Ameryki Łacińskiej, całego trzeciego świata, jak można rozwiązywać problemy charakterystyczne dla krajów słabo rozwiniętych ekonomicznie. Sprawiedliwy podział skromnego, wprawdzie, dorobku, to właśnie to, czym Kuba zaimponowała uczestnikom festiwalu. Trzeci powód – pomoc udzielana przez Kubę innym krajom trzeciego świata; pomoc kraju, który sam nie ma zbyt wiele, dla innych państw zyskał Kubie sympatię młodych uczestników festiwalu.

– Czy nie było głosów krytycznych w tej kwestii?

– Bywało, że padały zarzuty o tzw. eksporcie rewolucji z Kuby na inne kontynenty.

– Jakie są korzyści naszego udziału w festiwalu?

– Najważniejsza sprawa – ogromna ilość nowych kontaktów z organizacjami studenckimi i młodzieżowymi z całego świata. Przywieźliśmy olbrzymi zasób informacji. Wszak w festiwalu wzięło udział około 2 tys. organizacji ze 145 krajów. Uzupełniliśmy naszą wiedzę, na przykład, o strukturach organizacyjnych, szkolnictwie itd. Całą tę wiedzę musimy teraz spokojnie przetrawić i ująć w programie działania organizacji.

Nie bez znaczenia jest to, że o programie, który przywieźliśmy do Hawany, głośno było w stolicy Kuby. Godnie zaprezentowaliśmy oblicze polskiej młodzieży, która obdarzyła nas mandatem politycznym, uprawniającym do reprezentowania jej na tym reprezentatywnym forum młodzieży świata.

Rozmawiał
Andrzej Ereciński

Klauzula uległości

CIĄG DALSZY ZE STR. 5

że rząd chiński może śmiało wyczekiwać na zgodę Japonii, gdyż po wizycie Zbigniewa Brzezińskiego w ChRL rola Pekinu w strategii Stanów Zjednoczonych wobec ZSRR ogromnie wzrosła i obecnie Waszyngton aprobuje również sprzedaż broni Chinom przez Zachód. Już po przyjęciu traktatu, 13 sierpnia „Japan Times" stwierdził: „Decyzja gabinetu Fukudy podjęcia rozmów w sprawie traktatu z Pekinem była popierana, jeśli nie inspirowana, przez administrację Cartera. Brzeziński wskazał, że bezpieczeństwo i siła Chin leżą w interesie USA".

Nacisk Waszyngtonu ma dla Tokio zawsze duży ciężar gatunkowy: 25 procent japońskiego eksportu kieruje się na rynek amerykański, dodajmy do tego zależność militarną – „parasol atomowy" i odpowiedzialność Stanów Zjednoczonych za obronę Japonii...

Przesadne byłoby jednak twierdzenie, że rząd Fukudy działał wyłącznie na zlecenie Waszyngtonu. Można raczej mówić o oddziaływaniu na Japonię zbieżnej w tym momencie strategii USA i Chin i o wpływie agresywnej polityki Pekinu, aprobowanej na obecnym etapie przez Stany Zjednoczone w ich „próbie sił" ze Związkiem Radzieckim. Analizując motywy, jakie skłoniły rząd japoński do przyjęcia chińskich warunków „Traktatu o pokoju i przyjaźni", nie można pominąć milczeniem presji kół przemysłowych i handlowych w samej Japonii. Koła te obawiają się bowiem, iż inne kraje, nie wyłączając USA, mogłyby otworzyć sobie szeroki dostęp do wielkiego rynku chińskiego... kosztem japońskiego sojusznika. Wymiana handlowa Japonii z ChRL osiągnęła w ub. roku pułap 3,7 miliarda dolarów, czyli zaledwie o 100 milionów dolarów wyższy, niż obroty tego kraju z ZSRR. Już w pierwszym półroczu 1978 handel japońsko-chiński osiągnął wartość 2,1 miliarda dolarów, a prognozy na koniec bieżącego roku przewidują rekordowe 5,6 miliarda dolarów. Podpisanie układu pokojowego zwalnia chińskie ograniczenia dla japońskiego eksportu, gdyż presja gospodarcza przestała być elementem przetargowym. Na początku września udaje się do Pekinu kolejna gospodarcza misja japońska pod przewodnictwem ministra handlu zagranicznego i przemysłu. Jej celem jest znaczne wzbogacenie wymiany handlowej i rozszerzenie wspólnych projektów przemysłowych. Układ korzystny dla Chin, jest równie korzystny dla japońskiego businessu. Ale czy tylko korzystny?

Azja dla kogo?

Dziennikarz „L'Humanite", Jean-Emile Vidal w konkluzji swego komentarza napisał, że „Traktat o pokoju i przyjaźni" właśnie podpisany w Pekinie stwarza – paradoksalnie – więcej problemów, niż ich rozwiązuje. Chinom udało się, nie bez poparcia Waszyngtonu, utrudnić na jakiś czas stosunki Japonii ze Związkiem Radzieckim i zablokować tymczasem podpisanie japońsko-radzieckiego układu pokojowego. Tym samym została podkopana wiarygodność japońskiej polityki zagranicznej wobec ZSRR, choć rząd premiera Takeo Fukudy czyni wiele, by udowodnić, że Japonia nie zamierza poprzez podpisanie układu z ChRL partycypować w chińskiej polityce wrogości wobec Związku Radzieckiego. Spośród opozycyjnych partii w Japonii, jedynie partia komunistyczna (KPJ) wypowiedziała się zdecydowanie przeciwko zaakceptowaniu chińskiej klauzuli. Dziennik partii „Akahata" pisał 25 czerwca: „Japonia nie powinna zawierać sojuszu z jakimkolwiek krajem, wymierzonego przeciwko trzeciemu krajowi. Nie powinna podpisywać układów, które mogłyby wciągnąć ją do wspólnych akcji przeciwko innemu krajowi (...). Pochopne podpisanie układu z Chinami może stworzyć zalążek przyszłych trudności".

Obawy przed konsekwencjami przyjęcia „klauzuli antyhegemonistycznej" wyraża także burżuazyjna prasa japońska. Cytowany już „Japan Times" stwierdza w komentarzu Masaru Ogawy z 13 sierpnia: „Być może Waszyngton może sobie pozwolić na pogorszenie stosunków z ZSRR, ale Japonia angażując się w tego rodzaju „plan" znajdzie się w niebezpiecznej sytuacji (...) Istnieje możliwość, że pomoc udzielana Chinom zostanie później wykorzystana przeciwko Zachodowi. Wtedy może powstać sytuacja której Waszyngton, kokietując obecnie Chiny, stara się zapobiec, sytuacja, w której traktat japońsko-chiński odgrywałby również pewną rolę". Prasa zachodnia często wspominała o „nowej Azji" lub o wizji „Azji dla Azjatów", jaka może powstać w wyniku sprzężenia pomiędzy japońską wysoką techniką, a ludzkim potencjałem Chin. Pisano o tym nie bez nuty obawy, że odżyć mogą koncepcje „strefy dobrobytu", jaką ongiś proponowali Azjatom japońscy militaryści. Obawy te podziela wiele krajów azjatyckich. Podpisanie traktatu chińsko-japońskiego wywołało ostry protest rządu Wietnamu, skłoniło rząd indonezyjski do zachowania szczególnej ostrożności w kwestii unormowania stosunków z Chinami. Zgodnego działania Japonii i Chin obawiają się również inne kraje. Indie, nie aprobując stanowiska Japonii, uważają, że normalizacja stosunków z Pekinem będzie niemożliwa bez uprzedniego rozwiązania wszystkich nie uregulowanych kwestii, w tym kwestii granic i wrogiej działalności prowadzonej z terytorium Chin przeciwko Indiom.

Wbrew oczekiwaniom kół rządzących Japonii, „Traktat o pokoju i przyjaźni" z Chinami przyczynił się przede wszystkim do wzmocnienia strategicznej pozycji Pekinu, przyhamował dalszy rozwój przyjaznych stosunków Japonii z ZSRR i zamiast złagodzić – wzmógł napięcie na Dalekim Wschodzie. Chińska „klauzula antyhegemonistyczna" stała się dla Japonii klauzulą uległości wobec rzeczywiście hegemonistycznej strategii politycznego kierownictwa Chin.

Mariusz Dastych

Lew i kogut

BARBARA STAŚKO

„Ilu jest Belgów w Belgii?" – spytał mnie z żartobliwym uśmiechem pewien mieszkaniec Brukseli. „Około 10 milionów" – odpowiadam. „Nie. Tylko dwóch – król i Eddie Merckx*). Reszta to Flamandowie, Walonowie, no i Brukselczycy..."

Ten żart, który często opowiada się licznym cudzoziemcom odwiedzającym mały, ale bogaty kraj nad Skaldą i Mozą, kryje w sobie wiele prawdy. Belgowie bowiem tylko za granicą czują się Belgami. U siebie, w kraju, są Flamandami lub Walonami. Ludźmi o odmiennych tradycjach kulturalnych i różnym temperamencie, posługującymi się różnymi językami. Nawet symbole obu części Belgii są różne: Flandria ma w herbie groźnego lwa, Walonia – galijskiego, zadziornego koguta.

Powierzchowne różnice od razu rzucają się w oczy. W pięknych, zabytkowych miastach Flandrii – portowej Antwerpii, Gandawie czy Brugii – wszystkie napisy są w języku niderlandzkim, którym, tak jak sąsiedni Holendrzy, posługują się Flamandowie. W Walonii zaś, która była wprawdzie kolebką belgijskiej rewolucji przemysłowej, ale dziś mocno podupadła, słychać wyłącznie język francuski. Tylko Bruksela, stolica kraju, jest dwujęzyczna. Choć, dziwnym zrządzeniem losu, w mieście tym, leżącym na obszarze flamandzkiej Brabancji, francuski używany jest o wiele częściej. Większość brukselczyków, choć zna oba języki, woli się posługiwać językiem Maeterlincka, który – znowu paradoks – był rodowitym Flamandem, ale pisał swe dzieła, które zyskały mu Nagrodę Nobla, wyłącznie po francusku.

Słowa, słowa, słowa

Historia Belgii jest w ogóle pełna dziwnych meandrów, których wynikiem jest to, że ten niewielki kraj podzielony jest dziś na dwa, a właściwie na trzy obozy, walczące ze sobą – ale tylko na słowa – z niezwykłym, jak na mieszkańców Północy, temperamentem.

Z odwiecznymi waśniami flamandzko-walońskimi nie mogły sobie poradzić kolejne rządy belgijskie. Sztuka ta udała się dopiero – choć i tak nie w pełni – obecnemu koalicyjnemu rządowi premiera Tindemansa, który w maju ub. roku doprowadził do zawarcia historycznego porozumienia między Flamandami, Walonami i brukselczykami. To porozumienie, zwane paktem z Egmont (od nazwy zamku, w którym toczyły się długie i burzliwe rokowania), zostało w marcu br. zatwierdzone przez Belgijską Izbę Deputowanych pod nazwą „Projektu ustawy o regionalizacji kraju". Ustawa ta przewiduje m.in. ograniczenie kompetencji władz centralnych do zagadnień związanych z polityką zagraniczną, obroną oraz wymiarem sprawiedliwości i przekazanie pozostałych uprawnień władzom regionalnym; utworzenie 3 autonomicznych regionów – Flandrii, Walonii i stołecznego miasta Brukseli, dysponujących lokalnymi rządami oraz parlamentami. Realizacja projektu nie będzie wprawdzie łatwa, gdyż wymaga rewizji wielu artykułów konstytucji, ale już sam fakt, iż skłócone strony doszły po wieloletnich sporach do takiego kompromisowego porozumienia, był zwycięstwem rozsądku nad emocjami, podsycanymi przez miejscowych nacjonalistów.

Kupiecka natura

Belgia, jak wiadomo, jest jednym z najmniejszych krajów Europy. Mimo to jednak poważnie liczy się w świecie, przede wszystkim jako partner handlowy. Belgowie umieją handlować. Pod względem wielkości handlu zagranicznego na jednego mieszkańca, Belgia – a raczej Unia Gospodarcza Belgijsko-Luksemburska – zajmuje czołowe miejsce w świecie (Belgowie twierdzą, że pod tym względem wyprzedza ich tylko Japonia).

Ale same umiejętności handlowe, to nie wszystko. Żeby handlować, trzeba mieć przede wszystkim czym. Mimo niewielkiej powierzchni, mimo całkowitego niemal braku surowców, Belgia posiada niezwykle rozwinięty przemysł, zwłaszcza przemysł przetwórczy. Dysponuje również – co z dumą podkreślają mieszkańcy – najbardziej wydajną na świecie, wysoko wykwalifikowaną, doświadczoną kadrą robotników i inżynierów oraz – najnowocześniejszą technologią.

Miasto Rubensa

Jak twierdzą z nie ukrywaną dumą Belgowie, nie ma właściwie takiej rzeczy, której nie potrafiliby sprzedać. Tę, bynajmniej nie przesadzoną, opinię najlepiej jest sprawdzić w Antwerpii.

Jest to nie tylko miasto wspaniałych zabytków, miasto Rubensa, którego dom, stojący przy ulicy jego nazwiska, został pieczołowicie odrestaurowany i jest obecnie dużym muzeum pamiątek po flamandzkim geniuszu pędzla. Antwerpia to przede wszystkim ogromny port. Drugi w Europie i trzeci w świecie. Miasto żyje z portu, którego nabrzeża ciągną się na przestrzeni 100 kilometrów i posiada aż 47 doków. To ogromne okno na świat, gigantyczna fabryka i serce handlowej Europy połączone jest arteriami dróg lądowych, rzecznych i morskich z całą zachodnią Europą i Afryką. To wielkie serce małej Belgii pulsuje życiem. Rocznie zawija tutaj około 20 tys. statków należących do armatorów z 80 krajów, przeładowuje się tu około 80 mln ton różnych towarów rocznie.

Każdy, kto zwiedza ten port, może sporządzić wyczerpujący rejestr największych firm świata. Na nabrzeżach, wydzierżawianych firmom na korzystnych warunkach przez władze miasta, które są właścicielami portu, wielkie towarzystwa międzynarodowe ulokowały ogromne magazyny, montownie samochodów, rafinerie ropy naftowej. Obok siebie Exxon, British Petroleum, radziecka centrala eksportująca ropę, General Motors, Ford i Volvo, a także Solway, Bayer i setki innych. Z parkingu-giganta wyjeżdża w świat jeden samochód na minutę. Wszędzie widać kolorowe „klocki" załadowywane na statki wszystkich światowych barider – to kontenery, w których znajduje się już obecnie większość towarów jakie przewijają się przez port.

W Antwerpii jest szczególna ulica – Pelikaanstraat. Na pierwszy rzut oka ta niezbyt szeroka, często rozkopana, brudna ulica ciągnąca się wzdłuż kolejowego wiaduktu, nie ma w sobie nic oryginalnego. Może tylko to, że pełno na niej Żydów w długich czarnych chałatach, z jarmułkami na głowach, z pejsami i długimi brodami. Jest to jedna z najbogatszych ulic świata. Tu właśnie mają swe sklepiki słynni w świecie diamenciarze, tu też znajdują się szlifiernie tych kamieni. Antwerpia to wielki ośrodek eksportu kamieni szlachetnych. Wartość eksportu zamyka się sumą około 900 mln dolarów rocznie. Belgia nie ma kopalni diamentów, ma jednak ogromne szlifiernie. Obrobione kaminie sprzedaje się hurtowo i detalicznie właśnie w małych sklepikach i ciemnych biurach Pelikaanstraat.

Gandawa

W Belgii wszędzie jest blisko. Zwłaszcza gdy się jedzie z Brukseli. Już po niecałej godzinie drogi do belgijskiej stolicy dojeżdża się do Gandawy, drugiego pod względem wielkości miasta flamandzkiego. Nie jest się tu łatwo porozumieć, gdyż mieszkańcy programowo „boczą się" na francuski, choć większość mówi płynnie tym językiem. Lubujący się w porównaniach Flamandowie często nazywają to miasto, ze względu na wspaniałe zabytki, Florencją Północy. Jest ono równocześnie ważnym ośrodkiem przemysłowym i portem morskim (dzięki kanałowi Terneuzen, ciągnącemu się przez Holandię do morza). Obok olśniewających zabytków średniowiecznej architektury można tu zobaczyć najnowocześniejsze zakłady. Kombinat hutniczy Sidmar (produkcja sięga 6 mln ton stali rocznie), czy rafinerię Texaco o mocy przerobowej 5 mln ton ropy rocznie).

Słynie również Gandawa ze swego uniwersytetu, założonego w 1816 roku przez Wilhelma Holenderskiego. Początkowo wykładano tu po francusku, jak w całym kraju. Potem jednak emancypujący się Flamandowie coraz gwałtowniej domagali się wprowadzenia języka niderlandzkiego, „flamandyzacji" uczelni. I dziś właśnie w tym języku uczy się kilkanaście tysięcy studentów.

Na murach budynków uniwersyteckich – i tych starych, okrytych patyną wieku, z ogromnymi, ciemnymi korytarzami, i tych supernowoczesnych, jasnych i oszklonych – napisy. Dominuje jeden „Bezrobocie – nie!". Tak jak we wszystkich krajach zachodniej Europy. Belgia jest tradycyjnie druga, w krajach Wspólnego Rynku, pod względem liczby bezrobotnych – aż 8,5 proc. zdolnych do pracy poszukuje jej nadaremnie. Zaś wśród bezrobotnych młodzi Belgowie, poniżej 25 lat, stanowią 42,5 procentu.

Każdego roku mury uczelni w Gandawie i w innych miastach Flandrii opuszcza tłum młodych ludzi ubranych w dżinsy. Duża ich część nie może sobie potem znaleźć miejsca w państwie, które szczyci się jednym z najwyższych standardów życiowych w Europie zachodniej. Jest to młodzież niezwykle sfrustrowana, która łatwo poddaje się rozpaczy, choć oczywiście nie ginie z głodu, otrzymując przynajmniej przez pewien czas, zasiłki.

Problem bezrobocia młodzieży stał się problemem często omawianym w belgijskiej prasie. Jesienią ub. roku znany dziennik „La Libre Belgique" zamieścił długi cykl artykułów pt. „Bezrobocie, czyli niepotrzebna młodzież", w którym przytaczał wypowiedzi młodych ludzi, nie mogących znaleźć pracy. Oto dwie z nich. Mówi Pierre: „Po przeglądnięciu prasy, niecałej oczywiście, ale tylko rubryki pod hasłem „zatrudnienie" wypijam jeden lub dwa kieliszki w bistro na rogu. Być może po to, aby dodać sobie otuchy. I z pewnością dlatego, aby utopić swoją bezczynność... Potem przez długie godziny, przebiegam miasto szukając na prawo i lewo rozrywek, rżnę w karty z kumplami, aby zapomnieć"... Mówi Xavier, z wykształcenia filolog: „Co mam robić? Biura zatrudnienia niczego mi nie proponują, niczego też nie mogę dla siebie znaleźć w ogłoszeniach prasowych. Więc spędzam całe popołudnia na szperaniu w książkach, czytaniu, paleniu... Od czasu do czasu zarabiam parę groszy obsługując pompy w stacji benzynowej na rogu".

Problem jest już tak poważny, że pewien przedstawiciel biura pośrednictwa pracy w Gandawie oświadcza petentom bez żenady: „Młodzi nie powinni ograniczać się do szukania pracy korespondującej jedynie z ich dyplomem. Powinni przyjmować każde zatrudnienie, nawet częściowe i poniżej ich kwalifikacji. Filozof śmiało może być dokerem, a prawnik czy socjolog – taksówkarzem. Dlaczego nie?" Więc młodzi ludzie z dyplomami, po wielu miesiącach wyczekiwań i bezowocnych poszukiwań, godzą się na te prace.

Bezrobocie w prowincjach flamandzkich i w Brukseli jest bardzo wysokie. Ale jeszcze wyższe, najwyższe w Belgii jest w prowincjach walońskich (13 proc., podczas gdy we Flandrii 10,3 proc., a w Brukseli 9,9 proc.).

Gdy skończył się węgiel

Już po kilkunastu kilometrach jazdy autostradą z Brukseli w kierunku granicy belgijsko-francuskiej, płaski pejzaż, którego uroki wychwalał w swych piosenkach sławny belgijski piosenkarz-poeta, Jacques Brel, zaczyna się zmieniać. Wokół, wśród pagórków, zarosłe już trawą hałdy węgla i nieczynne kopalnie.

Walonia. Prowincja Hainaut ze stolicą w Mons. Tu właśnie od najdawniejszych czasów znajdowały się okręgi górnicze, a wśród nich największe zagłębie Borinage. W okresie rozkwitu tej „czarnej krainy", z pracy w kopalniach utrzymywało się kilkaset tysięcy rodzin. Jeszcze nie tak dawno zagłębie tętniło życiem. Węgiel znajdował się niemal pod samą powierzchnią licznych pagórków. Potem schodzono w poszukiwaniu czarnego złota coraz bardziej w głąb ziemi. Wreszcie i to przestało się opłacać wraz z oszałamiającą karierą tańszej wówczas ropy naftowej. Kopalnie zamykano jedną po drugiej. W 1976 roku zamknięto w Walonii ostatnią.

Czasy świetności gospodarczej zagłębie Borinage, gdzie pracowało również wielu Polaków, którzy przybyli do Belgii „za chlebem", ma już dawno za sobą. Pozostał po nich tylko imponujący pomnik, symbol rewolucji przemysłowej, jaka dokonała się w Walonii, na bazie węgla, w początkach XIX wieku. Jest to Grand Hornu, unikatowy w całym kraju kompleks górniczo-przemysłowy, własność od 1810 roku Henri de Gorge-Legranda, oświeconego kapitalisty i wielbiciela utopijnych filozofów. On to właśnie stworzył niedaleko Mons, wielkie jak na owe czasy, zintegrowane centrum przemysłowe, składające się z kopalni, warsz-

*) Eddie Merckx – słynny belgijski kolarz

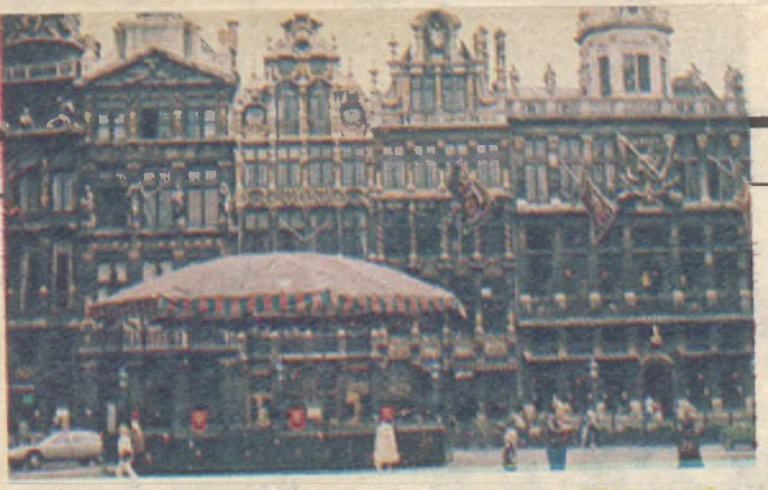

Brukselska starówka – nic nie wskazuje na powagę sytuacji.

Dla jednych Brussel, inni nazywają miasto Bruxelles.

tatów budowy maszyn potrzebnych do wydobywania węgla, budynków administracyjnych oraz miasteczka dla górników i rzemieślników.

Grang Hornu przez przeszło 100 lat było tętniącym życiem ośrodkiem górniczym. Potem, wraz z zamknięciem kopalń, popadło w ruinę. Dopiero niedawno, kilka lat temu, odkupił je od poprzednich właścicieli architekt Guichez. Obecnie, przy finansowej pomocy władz prowincji Hainaut i centralnego rządu w Brukseli, tworzy się tu skansen przemysłowy i muzeum narzędzi górniczych.

Oczywiście nie cała Walonia jest takim pomnikiem wspaniałej przeszłości. W wielu miastach rozwinęły się różne gałęzie przemysłu: hutniczy, szklarski czy spożywczy, w których pracuje część miejscowej ludności.

CARLAM

400-tysięczne miasto walońskie Charleroi, zawdzięczające swą nazwę pewnemu bogatemu grandowi hiszpańskiemu, który zbudował tu potężną fortecę, ma rozwiniętą sieć zakładów przemysłowych. Jeden z nich znajduje się na przedmieściu Couillet.

Już z daleka widać wysokie sylwetki hal położonych na dużym, ogrodzonym terenie. Nad halami napis: CARLAM. To Société Caroleregienne de Laminage, jedna z najnowocześniejszych nie tylko w Walonii, ale w całej Belgii walcowni stali na gorąco. Zakłady, których część akcji należy do firm francuskich, powstały niedawno, ale już produkują rocznie 1 300 tys. ton blachy walcowanej.

Ruch przed halami jest duży. Z boku podjeżdżają wagony wyładowane słabami, które podnosi gigantyczna suwnica z elektromagnesem, przenosząc je do hali, gdzie transporterami dostaje się do pieca hutniczego. Po obróbce, z taśm schodzi cienka blacha, którą nawija się na ogromne szpule i przewozi kanałami do Antwerpii. Stamtąd idzie w świat, między innymi do Polski.

Walcownia kontrolowana jest przez komputery. Wszystko jest tu zautomatyzowane. W wielkiej hali nie ma prawie nikogo. Wszystkim kierują technicy, siedzący w klimatyzowanych wysokich kabinach. CARLAM jest zakładem bardzo nowoczesnym – mówi na przemian po polsku i po francusku Jean-Marie Dejnecki, młody inżynier pochodzenia polskiego. – Mamy tu amerykańkie komputery, szwedzką aparaturę mierzącą grubość blachy, francuski piec, zachodnioniemieckie urządzenia elektroniczne... no i polską stal. Z Huty „Katowice".

Nielubiana stolica

Osobną enklawą, w podzielonej na dwie części Belgii, jest Bruksela, stolica nie tylko kraju, lecz – jak często nazywają ją brukselczycy – całej Europy zachodniej. To niegdyś jedno z najpiękniejszych miast kontynentu liczni tu codzoziemcy nazywają teraz ironicznie „nieudanym Manhattanem", „bezpłciowym miastem biurowców". Mieszkańcy przeszło milionowej Brukseli każdego weekendu opuszczają zatłoczone do niebywałych granic męczące miasto jadąc szeroką kilkupasmową autostradą nad morze, głównie do Ostendy, królowej (choć mocno nadszarpniętej zębem czasu i pokrytej patyną) belgijskich plaż. Jadą, aby zażyć tam morskiej kąpieli, zjeść wspaniałe morskie ryby, których miasto to jest największym w Belgii dostawcą, czy też spróbować szczęścia w Kurssal, słynnym kasynie, położonym nad nadmorską, zabetonowaną, niestety, promenadą Alberta 1.

Belgowie nie przepadają, jak się wydaje, za swoją stolicą. Między innym z powodów flamandzko-walońskich. Flamandowie, mniejszość mieszkańców, uważają Brussel za waloński cierń w ciele flamandzkiej Brabancji. Walonowie, którzy w ostatnich czasach są coraz bardziej sfrustrowani, gdyż czują się zagrożeni przez bardziej dynamicznych pod względem demograficznym i gospodarczym Flamandów (którzy w dodatku płynnie mówią oboma belgijskimi językami, podczas gdy im samym przychodzi to na ogół z wielkim trudem) – uważają Bruxelles za ostatni bastion oporu wobec coraz większej flamandzkiej dominacji. Ta niechęć odciska się na mieście, które w dodatku stanowi dziwny konglomerat różnych stylów, i monstrualny ośrodek międzynarodowej biurokracji, która „rozmnaża" się w dzikim tempie, zgodnie z prawem Parkinsona...

Licząca 1000 lat Bruksela była podobno miastem pięknym... aż do wystawy światowej w 1958 roku. Wtedy władze wszystkich 19 brukselskich gmin (każda z osobnym burmistrzem i radnymi) zawarły ze sobą porozumienie m.in. w sprawie budowy systemu ogromnych i brzydkich tuneli dla samochodów, budowy terenów wystawowych ze słynnym Atomium, które obecnie uważa się za symbol Brukseli. Opracowano również plan budowy metra i sieci supernowoczesnych hoteli i biurowców. Do tego jeszcze doszła decyzja o usytuowaniu w stolicy Belgii siedziby Wspólnego Rynku, co z kolei przyciągnęło firmy wielonarodowe. Każda z firm – jest ich przeszło 500 – ma dziś swój ogromny własny wieżowiec. Stolica zachodniej Europy pełna jest tych superdrapaczy chmur. Ale plany budowy belgijskiego Manhattanu zostały zrealizowane tylko w części. Dziś te superpudełka, przypominające do złudzenia zapalniczki Dunhilla, sąsiadują ze starymi, niskimi i pełnymi uroku kamieniczkami w stylu holenderskim, a miasto jest bezładną mieszaniną różnych budowli.

Bruksela, zatłoczona, w centrum pozbawiona prawie zupełnie zieleni, nie jest miastem, gdzie chętnie się mieszka. Przypomina raczej wiecznie zagonionego, amerykańskiego businessmana – mówią złośliwie jej mieszkańcy. Pełno tu kłębiącego się, różnojęzycznego tłumu. W mieście jest kilkanaście tysięcy dyplomatów i wyższych urzędników, belgijskich i zagranicznych. Bo przecież w Belgii właśnie znajduje się nie tylko siedziba EWG, ale i NATO. Część państw ma swych dyplomatów akredytowanych potrójnie – przy królu, przy EWG i przy NATO.

Co roku z dzielnic centralnych, które wabią oczy turystów luksusowymi witrynami licznych sklepów, gdzie można kupić dosłownie wszystko, i to „wszystko" pochodzące dosłownie z każdego kraju świata, choć za bardzo słone pieniądze (Bruksela jest jednym z najdroższych miast Zachodu), emigruje na przedmieścia, mniej zatłoczone i bardziej zielone wielu mieszkańców. Tym bardziej że marzeniem każdego mieszkańca stolicy, tak jak i każdego Belga, jest własny domek. Mówi się, że opuszcza metropolię co roku 10 tysięcy osób. W tej sytuacji zrozumiałe stają się na głównych ulicach centrum, wiszące na co trzeciej kamienicy ogromne tablice z napisami: „Do wynajęcia". W innych, mniej eleganckich dzielnicach, gdzie czynsz jest o wiele niższy, do opuszczonych kamienic szybko sprowadzają się liczni w Belgii cudzoziemscy robotnicy – Arabowie lub Afrykanie z byłej kolonii, Zairu.

Dwujęzyczność Belgii została w stolicy kraju doprowadzona do prawdziwego absurdu. Nie tylko każdy plac i każda ulica mają nazwy w dwóch językach, nie tylko dwujęzyczne są reklamy (jak choćby ta, która po niderlandzku i francusku zachwala dżinsy za pomocą zdjęcia... prezydenta Cartera), napisy w urzędach lub w licznych tu kinach (również porno), ale jeszcze istnieje zwyczaj, niedawny co prawda, obwieszczania w obu językach nazw przystanków metra. Nazw, które w bardzo wielu przypadkach są po prostu identyczne. Ale taka jest właśnie zasada: w prowincjach – w zależności od tego, gdzie się znajdują, ściśle przestrzegać wszystkiego, co walońskie lub flamandzkie, w stolicy zaś ani na milimetr nie przechylać szali na jedną lub drugą stronę. Bo inaczej dojdzie do kolejnych, burzliwych debat w parlamencie, czy na łamach prasy, a flamandzki lew i waloński kogut wezmą się (w przenośni, oczywiście) za łby.

Barbara Staśko

Zdjęcia:

Andrzej Górtowski

Lotnisko pod złą gwiazdą

HANNA HARTWIG

„Cóż z tego, że port lotniczy został już oddany do użytku? My dopiero rozpoczynamy naszą ofensywę" – mówi jeden z przywódców Ligi Oporu. – „Najdalej za trzy miesiące będą musieli zwinąć cały ten kram".

„Kram" to nowe japońskie lotnisko międzynarodowe Narita, przez czynniki oficjalne zwane chętnie „bramą Japonii na świat". Narita jest supernowoczesnym gigantem, lotniskiem przyszłości. Obecnie przyjmuje i odprawia 150 samolotów dziennie, obliczona jest jednak na kilkakrotnie więcej. Nie wiadomo jedynie, czy Narita – dysponująca obecnie jednym tylko pasem startowym, na którym co parę minut ląduje samolot – zostanie kiedykolwiek ukończona. Dotychczasowa, 12-letnia historia Narity każe wątpić w możliwość bezkolizyjnej rozbudowy tego prestiżowego obiektu. Coraz więcej Japończyków sądzi, że Narita pozostanie na zawsze niekompletnym gigantem, że jest to lotnisko pod złą gwiazdą.

Naritę zaprojektowano na wielką skalę w 1966, w dobie japońskiego cudu gospodarczego. Miała zastąpić zbyt ciasne, nie przystosowane do wymogów rosnącego ruchu lotniczego tokijskie lotnisko Haneda. Nowe lotnisko zaprojektowano na wielką skalę, z rozmachem nietypowym dla planistów japońskich. Tu, w odległości 66 km od zatłoczonego Tokio, miejsca było przecież pod dostatkiem: trochę lasków, zagajniki, pola ryżowe.

Pola te jednak nie były niczyje. Należały od wielu pokoleń do miejscowych chłopów. Decyzję o lokalizacji podjęto, nie pytając o zgodę – jak każe obyczaj – miejscowej gminy. Chłopi zaczęli masowo buntować się przeciw rugowaniu ich z ziemi. Ich sprawę poparły w parlamencie postępowe siły polityczne. Głównym polem bitwy – jak się miało okazać – stał się jednak nie parlament, lecz samo lotnisko.

Opór przeciw budowie lotniska stanowiło nie tylko kilkuset chłopów z okręgu Sanrizuka – oni sami nie byliby w stanie postawić na nogi 14 tys. uzbrojonych policjantów. W sukurs chłopom przyszli obrońcy środowiska i lewaccy studenci z Tokio i z całej Japonii. Dla chłopów była to walka o byt, dla studenckich ekstremistów – nowy poligon do walki ze znienawidzonym systemem i rządem.

Stopniowo udało się wprawdzie władzom przekonać 80 proc. chłopów do sprzedaży ich gruntów po cenach, przewyższających o połowę ceny rynkowe. Pozostała jednak grupa nieprzejednanych, licząca 350 osób i skupiająca się wokół 20 rodzin. Wiele z nich mieszka na terenach przewidzianych pod budowę lotniska już w drugiej fazie jego realizacji, czyli w najbliższej przyszłości. Nie chcą ustąpić. Jedna z nich – chłopka Take Ogawa – wypisała jaskrawą farbą na dachu swej obory „Opór do końca". Nie chce się wyprowadzić i sprzedać ziemi, nawet za wysoką cenę. „Dawniej było tu 30 gospodarstw – mówi – teraz tylko siedem. Nasi sąsiedzi, którzy sprzedali, otrzymali w zmian gdzie indziej tylko połowę swych dawnych gruntów. Za otrzymane pieniądze pobudowali tam piękne domy – ale z rolnictwa już się utrzymać nie mogą". Istotnie, władze nie rozporządziły podobno wystarczającą ilością gruntów uprawnych dla chłopów tytułem rekompensaty – a to, co miały, nie było wysokiej klasy.

Guerilla na lotnisku

Narita w cyfrach: budowa kosztowała 3 mld dolarów. Oddanie lotniska do użytku udaremniono 12 razy. Jak dotąd, walka o Naritę kosztowała 5 zabitych i ponad 6 tys. rannych. Zabici – to jeden student i 4 policjantów. Trzech z nich przebito od tyłu bambusową dzidą.

Policję dla ochrony lotniska trzeba było sprowadzać z całej Japonii. Liga Oporu natomiast jest stale na miejscu. Tysiące młodych ludzi osiedliło się na terenach wokół lotniska, które należą do broniących się przed eksmisją rodzin. Mieszkają u chłopów lub w 37 pobudowanych wokół lotniska „bastionach oporu". Bastiony, zwane również „twierdzami" lub „chatami jedności" robią z zewnątrz wrażenie prymitywnych budynków z betonu i drewna – wewnątrz jednak są kompletnie urządzone, nie brak pralek, telewizorów, telefonów, a także krótkofalówek – które służą do podsłuchiwania policji.

W Lidze Oporu działa, obok chłopów i sympatyków ruchu, kilkanaście różnych grup ekstremistycznych o nazwach takich, jak „Czwarta Międzynarodówka", „Antyimperialistyczna Rada Studencka" czy „Proletariacki Związek Młodych Mężczyzn". Zdaniem japońskich kół rządowych, sprawa chłopska w tym konflikcie dawno już zeszła w cień, a nieliczni nieprzejednani chłopi firmują tylko ruch oporu na zewnątrz, zyskując dlań sympatię i finansowe wsparcie. Datki płyną z całej Japonii.

Na polach wokół lotniska Narita dojrzewa ruch oporu, kieruje się już nie tylko przeciw budowie lotniska, lecz przeciw reżimowi w ogóle.

W przeddzień otwarcia lotniska 21 maja br. policja zmieniła swą częstotliwość nadawania, uprzednio nie tylko Liga Oporu podsłuchiwała wszystkie rozkazy i meldunki, lecz również je zagłuszała. Na głosy stróżów porządku nakładała się głośna beatowa muzyka i teksty popularnych szlagierów, albo wierszyki satyryczne.

Wiele trudów kosztowało uniemożliwienie buntowniczej lidze zakłócania również łączności radiowej między samolotami a wieżą kontroli lotów. Fachowcy przyznają zresztą, że nie sposób wyeliminować tego niebezpieczeństwa w 100 proc. – podobnie, jak nie sposób zabezpieczyć się przed innym jeszcze zagrożeniem: zdalnie sterowanymi modelami samolotów. Liga Oporu groziła mianowicie, że takie właśnie modele – z ładunkiem wybuchowym na pokładzie – naprowadzi zdalnie na cel, czyli na wieżę kontrolną lub na zbiorniki z paliwem.

Z balonikami na samoloty

Jeszcze w przeddzień 21 maja Lidze Oporu udało się w zachodniej części Tokio przeciąć ważny kabel, zapewniający łączność dla centralnego ośrodka kontroli lotów i tym samym doprowadzić do kompletnego chaosu w ruchu lotniczym nad terytorium Japonii. Ponad 100 lotów musiało zostać anulowanych, zanim udało się usunąć szkody. Przez całą noc, poprzedzającą otwarcie, wokół lotniska Narita wrzała walka między policją a demonstrantami, którzy (podobno w sile 30 tys.) zjechali tu z całej Japonii, by wzmocnić miejscową Ligę Oporu. Demonstranci przewrócili maszt wysokiego napięcia, powodując ciemności w całej okolicy. Budowali też i podpalali barykady na drogach dojazdowych, by uniemożliwić przeprowadzkę biur zagranicznych linii lotniczych do dworca lotniczego w Narita. Najbardziej bojowa grupa usiłowała staranować ciężarówkę, pełną materiałów wybuchowych, jedno z wejść na teren lotniska. Napotkawszy opór, ekstremiści zaczęli rzucać z ciężarówki bomby zapalające, które wkrótce przeobraziły cały ten rejon w pulsujące morze płomieni. Na jego tle poruszały się, jak w rytualnym tańcu, czarne sylwetki walczących. Ostatecznie atak został odparty. 49 demonstrantów aresztowano, 21 rannych policjantów trzeba było odwieźć do szpitala. Ulegli oni poparzeniom, dostawszy się w strefę ognia, bądź też zostali opryskani pestycydami przez demonstrantów.

Wreszcie, krótko po godz. 8 rano, wylądował na lotnisku Narita pierwszy samolot. Był to samolot transportowy Japońskich Linii Lotniczych JAL z Los Angeles. O 12.03 lądował następny samolot, również japoński: pasażerski DC-8 z Frankfurtu nad Menem. Samoloty schodziły do lądowania nad głowami protestującego tłumu, stłoczonego poza ogrodzeniem z drutu kolczastego, okalającym lotnisko. Lądowanie przeszło szczęśliwie, mimo przeszkód obmyślonych przez Ligę Oporu: pilotom ograniczały widoczność bure słupy dymu z palonych tuż obok lotniska stosów opon samochodowych oraz tysiące wypuszczonych w powietrze, kolorowych baloników – a raczej balonów o 3-metrowej średnicy. „Jeśli nie ściągną wreszcie tych cholernych balonów, nigdy nie wystartujemy" – takie zdanie zirytowanego amerykańskiego pilota usłyszeli przez mikrofon pokładowy pasażerowie jednego z pierwszych, startujących z lotniska Narita samolotów. Pilotowi udało się jednak wystartować – na parę minut przed zamknięciem lotniska o godzinie 22.00.

„Więcej glin, niż pasażerów"

W związku z nieustannymi atakami przeciwników i trwającym napięciem władze japońskie wprowadziły środki bezpieczeństwa, nie znane na światowych lotniskach cywilnych – poza może Bejrutem i Tel-Awiwem. Osoby, wchodzące na teren portu lotniczego, przechodzą 6-krotną kontrolę dokumentów i bagażu oraz rewizję osobistą. Kontroluje się także wszystkie podjeżdżające samochody. Odprowadzający nie mają w ogóle prawa wstępu na teren dworca lotniczego – wpuszcza się tam tylko personel, pasażerów i dostawców. Te środki bezpieczeństwa irytują pasażerów, pilotów i personel naziemny, jak również przedstawicieli zagranicznych linii lotniczych. „Więcej tu glin niż pasażerów" – oświadczył jeden z nich – a w dodatku muszę okazywać paszport i specjalną przepustkę za każdym razem, kiedy idę do toalety". Niektórzy nazywają Naritę pomysłem poronionym od początku: znacznie taniej i łatwiej można było wyzyskać tereny nadmorskie i rozszerzając tokijskie lotnisko Haneda.

Poroniony pomysł? Otóż Narita, by funkcjonować zgodnie z założeniami jako lotnisko przyszłości, potrzebuje dwóch rzeczy: terenów do rozbudowy oraz paliwa dla samolotów. Nie ma ani jednego ani drugiego. Pomyłka w stadium projektowania sprawiła, że nie zbudowano dla lotniska rurociągu z pobliskiego portu. Obecnie dostarcza się paliwo pociągami, niezgodnie z wymogami bezpieczeństwa. Pociągów tych przybywa do Narity 5 dziennie i trudno ilość tę jeszcze zwiększyć.

Są inne trudności. Lotnisko leży w strefie częstych mgieł. Korzystające z niego samoloty muszą pedantycznie trzymać się wyznaczonej trasy, by uniknąć kolizji – w bezpośrednim sąsiedztwie mieści się bowiem japońskie lotnisko wojskowe oraz amerykańska baza lotnicza. Wspólny ośrodek kontroli lotów nie istnieje – działa tylko (kwestia, czy skutecznie) „gorący telefon", z którego można skorzystać, gdy dwa samoloty znajdą się niebezpiecznie blisko siebie.

32-metrowe wieże miały uniemożliwić start i lądowanie samolotów na lotnisku Narita.

Zasadniczym problemem pozostaje jednak rozbudowa. Do budowy drugiego pasa startowego (o długości 4 km) potrzeba inwestorom ok. 900 ha ziemi. I prawie tyle już odkupiono – z wyjątkiem 40 ha, znajdujących się w posiadaniu „nieprzejednanych". Te 40 hektarów znajduje się w samym środku projektowanej inwestycji – a władze japońskie chcą uniknąć przymusowych wywłaszczeń, przekonawszy się, iż taka polityka zaogniła tylko istniejący konflikt. Co więcej – prawo japońskie mówi, że właściciel terenu wywłaszczonego ze względu na projektowaną tam inwestycję ma prawo po 10 latach odzyskać swą własność z powrotem, jeśli w tym terminie budowa nie została rozpoczęta. Dla drugiej fazy budowy lotniska Narita termin mija w 1979 roku – a wielu chłopów nie kryje, iż tylko czeka na ten moment.

Ewakuacja personelu z wieży kontrolnej lotniska

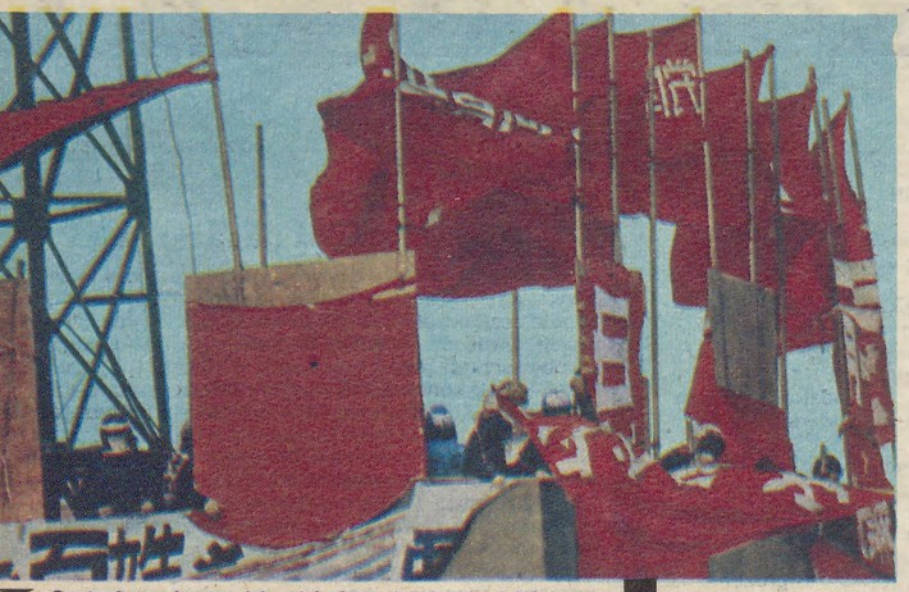

Liga zdobywa coraz większą ilość zwolenników i przysięga walczyć aż do zwycięstwa.

Gęste dymy płonących krzaków i zagajników utrudniały nawigację pilotom

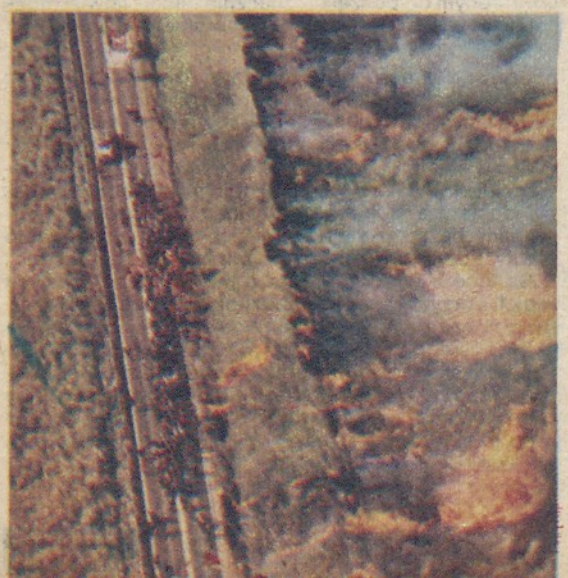

Dochodzą do tego wysokie koszty podjętych środków bezpieczeństwa i stałe napięcie, wywołane atakami Ligi Oporu, okopanej w swych 37 „chatach" i „twierdzach". Rząd wydał wprawdzie specjalny dekret, zezwalający na zrównanie z ziemią tych „gniazd oporu". Minister komunikacji Fukunaga woli jednak nie korzystać z tych pełnomocnictw, dąży raczej do ugody. Jeżeli coś zdumiewa obserwatorów z innych kontynentów, w tym także z Europy – to właśnie ogłędność, z jaką władze traktują otwarty bunt Ligi Oporu oraz fakt, że w starciach poszkodowani są najczęściej policjanci. Japończycy tłumaczą to tradycją tego kraju: w Japonii człowiek zawsze ma pierwszeństwo przed literą prawa – nawet człowiek, który przeciw temu prawu wykroczył.

O postępowaniu władz japońskich decydują jednak zapewne – poza humanitaryzmem – także inne względy. Liga Oporu porównuje swą działalność z narodowowyzwoleńczą walką ludu wietnamskiego. Przedstawiciele ligi byli podejmowani w Pekinie. Narita stała się drażliwym problemem politycznym. 68-letni przywódca buntowników Issaku Tomura i inni przywódcy ligi podróżują po kraju, przemawiają, wszędzie zyskują stronników. Istnieje już w Japonii 70 innych grup oporu, działających lokalnie, na mniejszą skalę – wszystkie one wzorują się na walce przeciwników lotniska Narita.

Lotnisko stało się katalizatorem protestu o znacznie szerszym podłożu. Jest to przede wszystkim protest przeciw proletaryzacji i ubożeniu chłopów, którzy – wyrugowani ze swoich gospodarstw – przenoszą się do miast, gdzie stanowią najtańszą, niewykwalifikowaną siłę roboczą. W ciągu ostatnich 10 lat 10 mln japońskich chłopów opuściło wieś, szukając środków do egzystencji w miastach. „Ziemia chłopska nie jest towarem, który można sprzedać za pieniądze" – mówi Tomura. – „To naturalne bogactwo, dane przez Opatrzność, które powinno dawać owoce także w przyszłości. Nie zamienimy ziemi na pieniądze. Rząd zamierza rozwinąć cały ten region, zabiera ziemię rolnikom by zbudować hotele i nowe miasta, rozbudować przemysł, autostrady, linie kolejowe i rurociągi – tak by japońska burżuazja miała z czego czerpać zyski". Od dawna już celem Issaku Tomury i jego ligi nie jest samo tylko uniemożliwienie funkcjonowania lotniska. Narita stała się symbolem protestu – a radykalne skrzydło ligi nie kryje, że istotnym jego celem jest obalenie rządu i zmiana ustroju. „Fantaści z Narita", jak ich określają środki przekazu, zbliżają się w swych koncepcjach do utopijnego socjalizmu.

Zaniepokojenie władz musiał wywołać także szeroki oddźwięk społeczny, jaki zyskała sprawa budowy lotniska i nieskrywane poparcie części społeczeństwa dla walczących z policją demonstrantów. Wskazuje to na rosnącą siłę protestu – protestu przeciw nie kontrolowanemu wzrostowi gospodarczemu, przeciw ślepemu (zdaniem przeciwników) molochowi przemysłu, pochłaniającemu resztki naturalnego krajobrazu, przeciw warunkom życia w przeludnionych metropoliach. Jak głęboko sięga ten tak niejednorodny protest łączący w sobie elementy postępowe i zachowawcze? Tego można się tylko domyślać. Według niektórych ocen jednak buntownicy z Narita mają sprzymierzeńców w różnych instytucjach, wśród personelu linii lotniczych, a nawet w samym rządzie. Zdaniem ekspertów, przecięcie kabla, niezbędnego dla funkcjonowania tokijskiego ośrodka kontroli ruchu powietrznego, byłoby niemożliwe bez dokładnej znajomości planów podziemnej sieci kabli spółki Nippon Telephone and Telegraph. Według niektórych – siłą rzeczy niepewnych – przypuszczeń, około 18 tys. pracowników instytucji rządowych i firm prywatnych gotowych jest do współdziałania z Ligą Oporu. Są to ludzie, nie identyfikujący się z kursem, wytyczonym przez rząd i establishment.

W działalności „ruchu oporu" udział bierze – rzecz jasna – tylko nieznaczna mniejszość. Są jednak oznaki, wskazujące, że ten przesyt cywilizacyjny ma szerszy zasięg w zatłoczonej ponad miarę, zindustrializowanej Japonii. Coraz więcej mieszkańców tego kraju ucieka ze swych mieszkań w zatłoczonych na kształt mrowisk metropoliach. Z dnia na dzień porzucają oni swą dotychczasową egzystencję, szukają szczęścia na wsi lub na obczyźnie. Niektórzy wychodzą, zostawiając drzwi otwarte, zapalone światło, włączony telewizor. W tokijskiej komendzie policji musiano utworzyć specjalny wydział, wyposażony w komputery – zajmuje się on poszukiwaniem „iedenin" czyli osób zaginionych. Telewizja nadaje co dzień kilkadziesiąt apeli porzuconych rodzin, poszukujących ojca lub (coraz częściej) matki. Coraz więcej Japończyków interesuje się możliwościami niezbyt nawet intratnej pracy na słabo zaludnionych wyspach mórz południowych. Sondaże wykazują, że jednej trzeciej młodzieży japońskiej przychodziła już do głowy myśl o emigracji z rodzinnych wysp.

Jedną z uciekinierek odnaleziono niedawno w nowozelandzkim buszu. Była nią czterdziestoparoletnia Keiko Agatsuma, była dziennikarka japońskiej telewizji. Keiko czeka obecnie na deportację do Japonii (termin jej wizy dawno minął), zachowuje milczenie co do przyczyn swojego kroku. Tubylcy, zaopatrujący ją w żywność, umieli jednak wyjaśnić jej motywy: „Dla nas busz, ptaki, zachód słońca, wiatr – to rzeczy oczywiste. Światem Keiko był natomiast dawniej mały pokój w sercu betonowej dżungli".

Hanna Hartwig

Zdjęcia: Archiwum

Z komiksem na ty

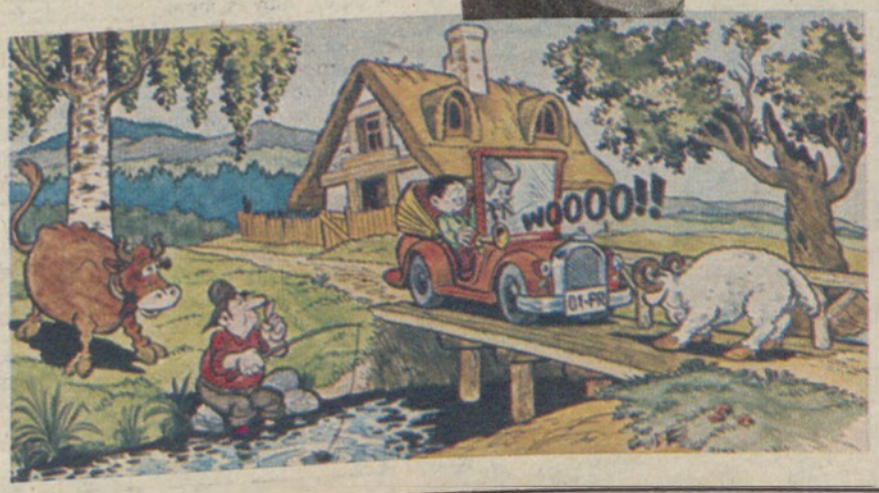

Janusz Christa jest jednym z najpopularniejszych twórców komiksów w Polsce i zarazem najbardziej chyba „samoswoim", uporczywie wiernym wybranemu stylowi, którego tradycyjność jest zarazem i oryginalnością. Od ponad dwudziestu lat z zegarmistrzowską precyzją rysuje historyjki, które dzieją się w nieokreślonym „dawno temu", rozchwytywane przez dzieci, lubiane przez dorosłych. Czy ma też własną „teorię komiksu"? Teorię może nie, ale ugruntowany pogląd na pewno.

– Czym jest komiks, dziełem sztuki czy kiczem?

– Zdania na ten temat są tak kontrowersyjne, że trudno tu o konkretne zaszeregowanie. Swego czasu mówiono, że jest synonimem zgniłej, zachodniej kultury, ale twierdzono też, że ma coś wspólnego z kulturą przez duże K, toteż pozwolono mu istnieć. Komiks nie jest plastyką przez duże P, ani literaturą przez duże L. Tak jak muzyka rozrywkowa jest dobra i zła, są też komiksy znakomite i kiczowate. Robione przez wybitnych plastyków czy też partaczy. W zależności od tego, z czym się zetkniemy, wyrabiamy sobie odpowiedni pogląd.

– Kiedy echa tych światowych dyskusji zawitały do Polski inicjując rozwój rodzimego komiksu?

– Stało się to w roku 1956. Dzięki inicjatywie naszych władz centralnych powstał tygodnik „Przygoda".

– Czy od tego momentu datują się pana związki z komiksem?

– Tak. Komiks jako gatunek artystycznej wypowiedzi zawsze mnie pasjonował, toteż bardzo chciałem się dostać do „Przygody". Miałem wówczas dziewiętnaście lat. Zrobiłem dla nich jedną historyjkę. Napisałem, że jestem starym emigrantem ze Szwecji, gdzie profesjonalnie zajmowałem się rysowaniem komiksów. Sztuczka chwyciła, bo od razu mnie przyjęli. Trzeba powiedzieć, że trafiłem na sprzyjające okoliczności – mieli kłopoty z materiałami komiksowymi. „Przygoda" się wówczas kończyła. Zapytali, jakie stawiam warunki pracy. Byłem zaskoczony, nie wiedziałem co powiedzieć. Zaproponowałem tysiąc złotych za stronę i ku mojemu zdziwieniu od razu się zgodzili. Później dowiedziałem się, że była to wcale niewygórowana suma, zważywszy, iż podałem się za „szwedzkiego wyżeracza komiksów".

– Czy odkryli ten podstęp?

– Stało się to w dosyć dziwnych okolicznościach. „Przygoda" wychodziła czarno-biała. Po pewnym czasie zdecydowano, że komiksy będą trójkolorowe. Nie wiedziałem zupełnie, jak to się robi. Technika wykonywania kolorowych komiksów była wówczas bardzo skomplikowana. Trzeba było trzykrotnie wykonać rysunek, na każdy nanieść inny kolor i to wszystko razem nałożyć na siebie. Wtedy nie miałem o tym zielonego pojęcia, co oczywiście zaskoczyło redaktora naczelnego. Panie, to pan emigrant, ze Szwecji przyjechał, a nie umie robić kolorowych komiksów? – A czy przyjęlibyście mnie, gdybym nie użył tego podstępu? – No tak, to był rzeczywiście dobry pomysł – przyznał szczerze ubawiony szef. Po kilku miesiącach „Przygoda" przestała istnieć.

kicz czy dzieło sztuki

– Czy żałuje pan?

– Nie, nie żałuję. Okazało się że to, co robiono w „Przygodzie", było tym, o czym mówili przeciwnicy komiksu, chałą.

– A jak przedstawiała się sytuacja komiksu na Zachodzie?

– Na Zachodzie wytworzył się cały przemysł związany z komiksem, a co się z tym wiąże – ściśle sprecyzowane specjalizacje. Są specjaliści „widzący komiks klatkami", piszący scenariusze; są też ludzie zajmujący się odpowiednim układaniem kolorów i rysownicy.

– W Polsce jest to zjawisko zupełnie nieznane, ale czy były próby?

– Były, tyle że zakończone zupełnym fiaskiem. Kiedyś zaproponowano znanym literatom, dziennikarzom, felietonistom: „róbcie scenariusze". Napisali cudowne opowiadania, które mogłyby być świetnymi scenariuszami do filmu, ale nie do komiksu.

– Trzeba więc posiadać jakieś szczególne predyspozycje?

– Nie, ale samo wykształcenie nie wystarczy. Trzeba być dobrym rzemieślnikiem, po prostu znać się na tym, lubić to, co się robi i mieć pewne doświadczenie.

– Tych wszystkich cech brakowało autorom „Przygody".

– Częściowo tak, skoro nie istnieje. Poniekąd jednak zadowalający jest fakt, że komiks na nowo odrodził się w „Relaxie". Jest to jedyne czasopismo tego typu ukazujące się w krajach demokracji ludowej.

– Będąc stałym współpracownikiem tego magazynu jak pan określa odbiorców?

– Nie potrafię. Dlatego staram się robić komiksy, w miarę możliwości, dla wszystkich.

– Czy to się zawsze udaje?

– Nie wiem, ocenę pozostawiam czytelnikom. Mogę jedynie powiedzieć, że jest to sprawa bardziej skomplikowana, niż mogłoby się wydawać. Podam konkretny przykład. W „Relaxie" drukowane były „bajki dla dorosłych", z ich kontynuacji musiałem zrezygnować, bowiem okazało się, że „Relax" czytają przede wszystkim dzieci.

– Dzieci są sympatycznymi czytelnikami, ale chyba nie tylko z myślą o nich robi się komiksy?

– Chciałbym, aby komiksy docierały do różnych wiekiem czytelników, by obcowanie z tego typu przekazem graficznej wypowiedzi dawało satysfakcję większej liczbie ludzi.

– Zalegające księgarnie „Relaxy" chyba nie urzeczywistnią pana marzeń?

– To mnie właśnie bardzo niepokoi. Mimo czasami ciepłych słów kierowanych pod adresem polskich komiksów, nie popadałbym w euforię. Sytuacja, jak sama pani zauważyła, nie jest zadowalająca. Obawiam się, aby nie powtórzyła się sytuacja z „Przygodą". Aby „Relax" nie przestał istnieć. Ja kocham komiks, toteż jego sprawy leżą mi głęboko na sercu i będę walczyć o to, aby przetrwał, nie umarł „śmiercią naturalną". Zbyt wiele teoretyzuje się na temat komiksu. Nie róbmy go na siłę dziełem sztuki. Niech komiks pozostanie rozrywką, bo jako rozrywka się zrodził. Nie żądajmy, by wiernie odzwierciedlał to, co się obok nas dzieje. Pozostawmy te cele książkom, filmom, innym środkom masowego przekazu. Pozwólmy komiksowi bawić się rzeczywistością i bawić nas.

– Tę ideę konsekwentnie realizuje pan w swoich historyjkach obrazkowych.

– Kajko i Kokosz, dwaj stali bohaterowie moich komiksów, żyją w świecie określonym w taki sposób, by nikt nie miał pretensji, że chodzi tu o celowo zamierzone aluzje. W podobnym świecie żyje większość moich rysunkowych bohaterów.

– Jednym słowem idzie pan na kompromis, taka sytuacja nie jest najlepsza...

– Tak, to prawda, ale muszę zaznaczyć, że ja nie chcę z nikim walczyć. Moje komiksy bawiąc czytelników propagują pozytywne cechy charakteru. Uczą, że dobro zawsze zwycięży nad złem i trzeba być człowiekiem szlachetnym. Są to cechy ogólnoludzkie, ponadczasowe, toteż nie ma potrzeby umiejscawiania moich opowieści w konkretnej miejscowości z dopiskiem „rzecz miała miejsce w roku".

– Od ponad dwudziestu lat wymyśla pan fabuły, układa scenariusze. Czy nie odczuwa pan pewnej pustki, braku koncepcji i pewnych znaków zapytania w rodzaju „co ja mógłbym jeszcze wymyślić".

– Czasami rzeczywiście łapię się na tym. Wydaje mi się, że już nic nowego nie wymyślę. Ale po nawet kilku dniach eksploatacji mózgu znowu jestem gotowy do pracy. Kiedyś mój przyjaciel, znany rysownik, powiedział: – Ty jesteś tym, któremu strzelają pomysły do głowy, a ja jestem tym, który musi je wymyślać. Każdy twórca ma czasami takie problemy.

– Czy nie byłoby wygodniej korzystać z gotowych scenariuszy. Czy były jakieś ciekawe propozycje?

– Owszem chciałbym korzystać z gotowych scenariuszy. Miałem kilka propozycji, z których musiałem niestety zrezygnować, bo były naprawdę słabe.

– Czy rysowanie komiksów to obecnie jedyne pana zajęcie?

– Od 21 lat tylko i wyłącznie tym się zajmuję. Kiedy wymyślam, rysuję – daje mi to autentyczną przyjemność. Nawet gdyby nie zapłacono mi ani grosza, rysowałbym dla siebie.

– Cały czas obracamy się w kręgu przygód dwóch głównych postaci pana historyjek. Skąd to uporczywe trzymanie się jednego typu komiksów i bohaterów?

– Po prostu lubię uprawiany przeze mnie typ komiksu, lubię też moich bohaterów, są jak gdyby „moimi dziećmi", do których się bardzo przywiązałem. Ale muszę też zaznaczyć, że oni też się zmieniają. W „Wieczorze Wybrzeża" drukowano przygody Kajtka i Koka, natomiast w „Relaxie" są to już bohaterowie nieco dojrzalsi, toteż nieco zmieniłem im imiona, zmieniłem także im ubranie na „poważniejsze". Poza tym nie są to jedyni moi bohaterowie, jedyne historie. Jak wspomniałem, zrobiłem dla „Relaxu" parę „bajek dla dorosłych". Od czerwca br. czytelnicy tego magazynu poznają nowych bohaterów – Gucka i Rocha w „Tajemniczym rejsie". Jak sama nazwa wskazuje, rzecz dzieje się w kręgach marynarskich. Jest to historia współczesna, wpół realistyczna. Spodobała się moim szefom, toteż zaraz po niej ukaże się „Kurs na półwysep Jork" – o podobnej tematyce. Potem wracam do Kajka i Kokosza.

– Czy nie myślał pan o przeniesieniu tych historyjek do filmu? Bohaterowie komiksów René Goscinnego, przede wszystkim sprytny Asterix, na dobre zadomowili się w filmie.

– Owszem, przykład kusi. Bardzo chciałbym, ale do tej pory nikt w Polsce mi takiej współpracy z kinematografią nie zaproponował...

– Czy były zagraniczne propozycje?

– Były ze strony Szwedów, Jugosłowian i z RFN. Proponowano nawet wyjazd, ale zrezygnowałem, bo chcę tworzyć w Polsce i dla Polaków. Ale być może ukażą się tam moje komiksy.

– Jak odnosi się pan do innych form komiksu?

– Preferuję komiks groteskowy. Ostatnio widziałem także inne realistyczne komiksy, urzekające wszechstronnością, bajeczną kolorystyką.

– Pana komiksy są również bajecznie kolorowe, porównuje się te komiksy do komiksów Gościnnego i Uderzo. Uważany jest pan za polskiego Uderzo. Zarzucić jednak można naśladownictwo.

– Spotkałem się z takim zarzutem, niesłusznym zresztą, bowiem moi bohaterowie powstali znacznie wcześniej aniżeli Asterix Gościnnego. I jest to najzupełniej przypadkowa sprawa, że nasze komiksy są podobne. Niemniej jednak jestem pełen podziwu dla twórcy bohatera francuskich komiksów. Oglądałem wiele jego książek, filmów – bardzo mi się podobają.

– Pana ulubieni autorzy komiksów, poza Gościnnym?

– Nie mogę wymienić nazwisk. Ogólnie mówiąc podobają mi się komiksy francuskie, nie lubię natomiast amerykańskich.

– A z polskich twórców historyjek obrazkowych kogo pan ceni?

– Niewątpliwie na takie uznanie zasługuje Rosiński.

– W jednym z programów „Pegaza" sprowokowano kilku znanych przedstawicieli kultury do wypowiedzi na temat przekładania na język komiksu znanych utworów klasyki polskiej, konkretnie „Pana Tadeusza", celem upowszechnienia ich czytelnictwa... Czy zdaniem pana zamiar byłby osiągnięty.

– Rzeczywiście jest olbrzymia grupa ludzi, która prawdopodobnie nigdy nie przeczyta wielkich dzieł literatury. Spopularyzowanie tych dzieł w formie komiksu być może byłoby jedynym sposobem dotarcia do nich. Niemniej jednak, nie wierzę, iż radykalnie zmieniłoby to sytuację, toteż jestem przeciwny możliwości takiego przedsięwzięcia.

– Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała
Teresa Dąbrowska
-Łochoń

■

Love story i nieroby

A jednak najbardziej chyba lubimy mówić o sobie. Do takiego przynajmniej wniosku można dojść obserwując tzw. środowiska twórcze. To egotyści doskonali. Jakże chętnie pisarze za temat swych nowel czy powieści obierają pisarzy i ich męki tworzenia, co drugi malarz (przynajmniej w dobie gdy portret był jeszcze uprawiany) prezentuje wizerunek własny z paletą i pędzlem, chyba tylko rzeźbiarze stosunkowo rzadko sięgają do autoportretu. Prym w tym wiodą oczywiście filmowcy, chętnie wtajemniczający widzów w sekrety swej twórczej kuchni; jak to oni są zaganiani, żeby z chaosu stworzyć dzieło, jaką to machinę muszą rozkręcać, jak to za kamerą panny sznurem... To jest jedna z genealogicznych gałęzi nowego polskiego filmu „Akwarele". Druga to „Love story"; formuła od czasu segalowskiego pierwowzoru powielana na wsze strony, w rozmaitych wariantach i kombinacjach. To drugi nurt rodowodu „Akwarel" – podobnie jak „Con amore", czy pokazywany niedawno w telewizji japońsko-radziecki „Yoriko, moja miłość". I w „Akwarelach" główna bohaterka (tu jeszcze uczennica średniej szkoły baletowej) marzy o zatańczeniu głównej partii na prawdziwej scenie, tyle że Ance przeszkadza nie popromienna białaczka, a inna poważna dolegliwość, której na imię Marek. Chłopak niby sympatyczny, w dodatku przystojny, tyle że niezbyt lubiący naukę czy pracę. Bardziej imponują mu środowiska komiwojażerów, bookmacherów, filmowych statystów, czy facetów od show-businessu. Uważa zresztą, że Anka też by lepiej zrobiła wyjeżdżając „z zespołem" na letnią chałturę po knajpkach Jantarowego Wybrzeża, niż wyciskając z siebie siódme poty na niekończących się próbach. Tego baletu rzeczywiście (podobnie zresztą jak w „Yoriko") jest w „Akwarelach" zbyt wiele, tyle że w dobrym wykonaniu; w partiach baletowych urodziwą studentkę warszawskiej PWST Dorotę Kwiatkowską, grającą rolę Anki, dubluje I solistka stołecznego Teatru Wielkiego Jolanta Rybarska.

Zgodnie z formułą „Love story", miłość Anki i Marka (Leszek Mikołajczyk) kończy się klęską, tyle że realizatorzy (film reżyserował Ryszard Rydzewski, który też wespół z Ewą Przybylską napisał scenariusz) rzecz całą sprowadzili na polski grunt. Moim zdaniem zresztą... pozornie tylko. Nie wiem czy rzeczywiście spotyka się u nas wielu młodzieńców, którzy nic nie robiąc rozbijają się fiatami 132, kupują na przetargach jakieś zdezelowane nysy, potrafią ni z tego ni z owego wygrać na Służewcu grubszą forsę (dla zachowania dydaktycznej równowagi w kolejnej gonitwie oczywiście spłukują się do cna), mają jakieś dziwnie wytworne mieszkania, w których mogą sobie urządzać przyjątka, albo też snuć plany zdobycia fortuny. „Co tam uczucia – interes się liczy" – oto ich dewiza, wytłumaczenie dlaczego godzą się, by ich dziewczyny przechodziły z rąk do rąk. Jedyne ich od czasu do czasu zajęcie, to statystowanie w filmie w roli... faceta polewanego wodą z węża. Co mi tam studia; jak bym skończył szkołę teatralną, to bym się pętał za małą pensyjką w jakimś podrzędnym teatrze, a tak przy filmie jako statysta to zarobię znacznie więcej – oto filozofia życiowa Marka.

„Akwarele"... Obraz który łatwo zmyć. Zacierają się kontury, nie bardzo wiadomo co i jak. Tak mniej więcej tytuł filmu komentuje życiowe postawy jego bohaterów. W pogoni za czymś, o czym sami nie mają sprecyzowanego pojęcia, ocierają się nawet o zbrodnię... Niezbyt to odkrywcze, ale może dydaktyczne. Chociaż też nie bardzo, bo Marek ponosi jedynie moralne konsekwencje swego czynu: odchodzi od niego Anka. Kontaktu z aparatem ścigania jakoś udaje mu się uniknąć.

W roli złego ducha i prowodyra całego towarzystwa, Damiana, występuje Jerzy Bończak – „przestępcza twarzyczka nr 1" filmu polskiego.

Andrzej Klonowicz

Naturalnie i warstwowo

Marynarki weszły do mody damskiej już dobrych kilka sezonów temu. Teraz jednak śmiało można mówić o szczycie ich popularności. Jest to bowiem w chwili obecnej nieodłączny element niemal wszystkich dwuczęściowych i wielowarstwowych ubiorów.

Linia marynarek nie uległa ostatnio zmianie i nadal jest dość wiernym odwzorowaniem kroju męskiego, z wszelkimi jego niuansami. Zmieniły się natomiast materiały. Damskie marynarki szyte są niemal wyłącznie z cienkich i gładkich tkanin wełnianych oraz bawełnianych, w naturalnych kolorach. Dominuje biel, beż i jasny brąz. Charakterystyczny jest też brak podszewki.

Z marynarkami konkurują kamizelki – również typowo męskie. Tak jak dawniej, w oparciu o nie komponuje się, tak bardzo modne obecnie, stroje warstwowe. Mają one sporo elementów. Popularna jest między innymi kombinacja: wąskie spodnie, tunika, kamizelka i marynarka. Zamiast spodni może być też spódnica. Ale już nie wąska, tylko marszczona w pasie, plisowana lub w kontrafałdy.

Warto też wspomnieć o dodatkach. Króluje wśród nich prawdziwa skóra. A więc skórzane paski, torebki, a nawet ozdoby, typu bransoletka, wisior itp. Obuwie też jest przeważnie skórzane

Ewa

MODA

Neo–Kallimach

Dopiero zbiór felietonów odsłania to, co u felietonisty jest jego obsesją, systemem zasad i wartości, światopoglądem i stylem. Zbiór felietonów pozwala znaleźć ich wspólny mianownik, niełatwy do uchwycenia w lekturze rozbitej na tygodnie, miesiące, lata. Utartym zwyczajem większość naszych felietonistów składa co jakiś czas ze swoich publikowanych w tygodnikach czy miesięcznikach tekstów książkę. Ostatnio zadebiutował na tym polu Kallimach czyli Jacek Syski, wydając zbiór felietonów publikowanych na łamach „Literatury" w latach 1972-1976, zatytułowany „Bez alibi". Warto sięgnąć po tę książkę. Stanowi właśnie jako uchwytna myślowa całość – przypadek nietypowy i interesujący. Jest zadziwiająco, jak na praktyki felietonowe, konstruktywna; widzi zło, ale i remedium na nie. Stąd chyba bierze się w książce Kallimacha ów duch optymizmu w miejsce charakterystycznych dla polskiej felietonistyki nastrojów malkontenckich. Zbór „Bez alibi" powstał w imię ewidentnych imponderabiliów, jego autor jest jednym z tych szczęśliwców, którzy mają niezachwiane punkty światopoglądowych odniesień i według nich wymierzają różnorakie odchylenia i wypaczenia. Dlatego Kallimach nie jest zgryźliwy, jak większość naszych felietonistów, nie prawi złośliwości, nie miota się, ale statecznie i mądrze naucza właściwego rozumienia i postępowania.

Główna wytyczna w programie postępowania Kallimacha da się określić w sposób następujący: zbadać, jakim to zniewoleniom uległa wyzwolona umysłowość człowieka współczesności. To pytanie jest wspólnym mianownikiem felietonów zawartych w zbiorze „Bez alibi". W tropieniu owych zniewoleń Kallimach wykazuje nie byle jaką odwagę i przedsiębiorczość. Sięga w strefy – częstokroć w odruchowym, właśnie stereotypowo zniewolonym rozumieniu – traktowane jako zakazane, albo też, zgodnie z powiedzeniem „Nie ma nic bardziej zadziwiającego niż to, co jest oczywiste", wskazuje obszary nieoczekiwanych myślowych możliwości w sprawach, na pozór, banalnych. Na przykład – kwestia naszego stosunku do katolicyzmu. „Fenomen religijny – powiada Kallimach – jest zresztą w polskich warunkach dostatecznie żywotny i rozpowszechniony, by zasługiwał na uwagę i analizę także dla samego siebie i to nie tylko w aspekcie teoretycznym czy intelektualnym. Bądź co bądź ludzie wierzący stanowią ciągle większość w naszym społeczeństwie"... Zapraszając do dyskusji z tym specyficznym „wyposażeniem światopoglądowym" Kallimach stwierdza: „Sądzę, że jednak zbyt mała jest aktywność (a może i zainteresowanie) myśli marksistowskiej w stosunku do całego obszaru religii, wiary i zjawisk towarzyszących im na różnych poziomach myśli i doświadczenia". Nawołuje do tego, by zrównoważyć te obszary „... zmodyfikowaną repliką światopoglądową, odmiennym wyborem, przeciwstawiającym swoje własne pozytywne świeckie wartości, pogłębiającym i rozwijającym je w sferze refleksji". Święta (nomen omen) racja. Gdyby tak posłuchać niektórych rad Kallimacha... Są najczystszym wcieleniem zdrowego rozsądku. Tu zresztą miejsce na rozszyfrowanie tytułu książki. Zdaniem felietonisty – nie ma takiego alibi, które usprawiedliwiałoby bierną postawę wobec rzeczywistości; żaden rodzaj pisarstwa, łącznie z najbardziej wysublimowanym i abstrakcyjnym, jakim jest filozofia, nie zwalnia twórcy od angażowania się w sprawy bieżącego życia. Marks udowodnił, przypomina Kallimach, że filozof powinien być rewolucjonistą. Zaraz, zaraz... a cóż kryje się za pseudonimem jaki przybrał sobie Jacek Syski? „Kallimach – czytamy w encyklopedii – właściwie Filippo Buonaccorsi (1437-96), włoski humanista i pisarz polityczny... ścigany za udział w spisku na życie papieża Pawła II uciekł 1468 z Rzymu; od 1470 w Polsce;... od 1474 na dworze Kazimierza Jagiellończyka;... współtwórca i realizator polityki Jagiellonów; ... poezje, pisma hist. i polit.; ... w przypisywanych mu „Radach Kallimachowych" pragmatyczny wykład programu wzmocnienia władzy królewskiej"

Współczesny Kallimach – Jacek Syski powie: „Nie tyle nowej myśli nam potrzeba (...) ile działania i wniosków praktycznych". Uwaga ta pojawia się, co prawda, w felietonie dotyczącym niedomagań w zakresie naszych uspołecznionych usług, niemniej mogłaby stanowić motto do całego zbioru.

Posłuchajmy kilku jeszcze rad współczesnego Kallimacha służących „naprawie Rzeczypospolitej": „... warto od słów powszechnie akceptowanych przechodzić częściej do faktów. Odnosi się to właściwie do wszystkich kręgów i poziomów społecznej pracy i współdziałania. Dla przykładu: hasła „twórczego niepokoju" i „niezadowolenia" rzucone przez kierownicze autorytety – wzięte na serio – wymagają najoczywiściej konkretyzacji i dopełnienia w realiach codziennych doświadczeń (...). Na pewno jednak już dawno przekroczyliśmy ten moment rozwoju społecznego, w którym życie zbiorowe i jego funkcjonowanie można byłoby sobie wyobrazić, jako oparte na protekcjonalizmie wobec wtajemniczonych i barierach milczenia wzniesionych wobec całej reszty „niepowołanych". Milczenie nie zawsze jest złotem, a już na pewno nie jest nim w życiu rozwiniętego społeczeństwa. (...) Jeśli patriotyzm nie jest postawą werbalną, to trzeba rozstać się z przekonaniem, że najlepszą jego szkołą jest czytanka bądź audycja propagandowa. Główną szkołą patriotyzmu jest efektywne życie narodu, bo to jego kształt codzienny decyduje o kształtowaniu się takich, a nie innych postaw i więzi w społeczeństwie. Promować patriotyzm, to przede wszystkim stwarzać mu warunki do istnienia..."

Nigdy dosyć przypominania spraw na pozór oczywistych. Choć prawdziwie odkrywczy pozostaje Kallimach nie w radach, wnioskach praktycznych, ale raczej na polu krytycznego spostrzegania, tropienia owych skamielin myślowych, które budują jakieś nowe mity, dogmaty i fetysze dwudziestego wieku. I tak, miast cieszyć się pełnią uzyskanej swobody, rozum współczesny fetyszyzuje sam siebie – jako ostateczną miarę prawdy; zamiast tryumfalnie otrząsnąć się z resztek starych, skruszałych mitów, budujemy i wierzymy w mit nauki, jako jedynej właściwej drogi poznania; nie wiadomo skąd wzięło się przekonanie, że nasza epoka ma w sobie coś ostatecznego, finalnego, że w niej dopełnią się i wyjaśnią ciągi dziejów; w moralistyce – demonizujemy rozbicie i rozproszenie wartości, która to sytuacja uzasadniać ma naszą bierność, niezajmowanie stanowiska wobec przejawów dobra i zła; tracimy z oczu tak zwane pytania podstawowe: o sens, cel, prawdę, bez których nie można przecież istnieć i uczestniczyć w ludzkiej kulturze...

Na każdą z tych nieprawidłowości Kallimach znajduje albo raczej ma radę, popadając tym samym w rodzaj zniewolenia, o jakim w felietonach nie wspomina – zniewolenia przez umysł praktyczny. Ale, skoro przyjął taką postawę... skoro uważa, że nie ma takiego alibi, które zwalniałoby człowieka myślącego z angażowania swojej myśli w działanie konkretne, skuteczne, celowe i jedynie słuszne...

Marzena Woźniak

Kallimach: Bez alibi. Czytelnik 1978, s. 275, c. 35 zł

Regał podręczny

Mojżesz i Henryk IV

Kim był Mojżesz, wiadomo; Henryków IV zna historia kilku, więc spieszę wyjaśnić, że mam na myśli Henryka Bourbona, najpierw króla Nawarry, potem Francji, współczesnika (mniej więcej) naszego Zygmunta Wazy; w tradycji ludowej francuskiej mówiło się o nim „dobry król Henryk", dał Francji pokój religijny (edykt nantejski) i dążył do tego, by każdy chłop przynajmniej w niedzielę mógł włożyć kurę do garnka.

Mojżesz i Henryk IV są bohaterami utworów dwóch pisarzy niemieckich, Tomasza i Henryka Mannów, napisanych na emigracji („Henri Quatre" henryka Manna w latach 1935–1937, „Prawo" Tomasza Manna w 1944), a więc w czasach, kiedy ich rodacy pod wodzą złowrogiego monomana slaczali się na dno upadku moralnego. Utwory obu braci łączy ta sama tendencja pedagogiczna nych na emigracji („Henri Quatre" Henryka jak i „Prawo" Tomasza Manna są przypowieściami o dobrym wodzu. Bohater arcydzieła Henryka Manna jest władcą, który wśród wszelakich kolei swego panowania ma na celu stworzenie takiego państwa, w którym każdy obywatel cieszyłby się opieką prawa, wolnością poglądów, dobrobytem, państwa przy tym dość silnego, by mogło być rzeczywistym gwarantem owych wartości obywatelskich. „Prawo" Tomasza Manna kończy się sceną, gdy Mojżesz obwieszcza ludowi Dekalog – „und das Volk sagte: Amen". To jest scena znacząca, symboliczna – lud mówi „niech tak będzie", przystaje na Dziesięcioro Przykazań, fundament naszej moralności; Mann pisał ją mniej więcej rok po tym, gdy na wiecu w berlińskim Sportpalast na Goebbelsowskie: „Wollt Ihr den totalen Krieg" tłum ryczał unisono „Ja!" (widziałam tę scenę na kronice filmowej – była straszna). „Prawo" Tomasza Manna przypomina, uświadamia fakt, że lud nie musi być motłochem, a przywódca – nie musi być diabolicznym oszustem. Wielka powieść Henryka Manna zaś – że polityka nie musi być serią działań bezwzględnych, obłudnych i zdradzieckich, a dążenie do władzy nie musi być dążeniem tylko do władzy, że nie musi ona być celem samym w sobie. Oba utwory są przeciwstawieniem się prymitywnemu makiawelizmowi mas, według którego „grunt to siła, polityka to jedno świństwo, naprawdę każdemu chodzi tylko o forsę i władzę, a całe gadanie o moralności i wyższych celach to głupie mydlenie oczu, na które nie dam się nabrać".

Hannah Arendt (uczennica Karla Jaspersa, zmarła przed trzema laty, wnikliwy analityk totalitaryzmu) pisze w eseju z 1944 pt. „Zorganizowana zbrodnia", że fundamentem himmlerowskiej machiny śmierci był „Familienvater", już w czasach wilhelmowskich tak uformowany, że ze strachu o „posadę, żonę i dzieci" wykonałby każde polecenie. Otóż to właśnie stwierdzenie nie wydaje mi się słuszne. „Familienvater" służył systemowi totalitarnemu wtedy, kiedy ten system już był, i to był wszechwładny, tak jak służył przedtem każdemu innemu systemowi, sporządzając krzywdzące listy płac, podpisując zwolnienia z pracy nieprawomyślnemu nauczycielowi, stróżując u bram zamkniętej kopalni itd. Ale ze strachu o posadę, żonę i dzieci nie powołał przecież do życia systemu, który w końcu jemu samemu zrujnował życie. Gdyby przewidział „ku czemu to idzie", odmówiłby udziału, zamknąłby się w domu, a hitlerowski marsz ku władzy skończyłby się na puczu w Monachium. Zastanowienia domaga się nie to, że szary człowiek został wciągnięty do obsługiwania maszyny, ale że na jej powstanie przyzwolił, że chodził na wiece, maszerował, krzyczał, heilował. Strach o posadę, żonę i dzieci w tym punkcie niczego nie tłumaczy. Wiele tłumaczy natomiast zjawisko owego „makiawelizmu mas", wprowadzone do rozważań o faszyzmie przez Joachima Festa („Oblicze III Rzeszy"). Na jego powstanie złożyło się wiele elementów: podręczniki szkolne przedstawiające historię jako ciąg wojen, zdrad, aktów przemocy i agresji (wieloletnie nieraz okresy pokoju, praworządności i dobrobytu umykały uwagi historiografów jako czasy, w których „nic się nie działo"); kult wielkich zdobywców, szerzący przekonanie, że zwycięzca zawsze ma rację. Ale także – demaskowanie przedmiotów tego kultu nie jako siewców nieszczęścia i zbrodniarzy, ale jako małych, płaskich złodziejaszków, którym się udało. Ale także – ze zwątpienia w humanizm – płynące zachwyty intelektualistów dla siły, barbarzyństwa, płowej bestii i Hunów przyszłości. To wszystko, upraszczane i wulgaryzowane kolejno przez mózgi pół, ćwierć i mikrointeligentów trafiało do przekonania, do wyobraźni sfrustrowanym, zachwianym w swej egzystencji, zgnojonym przegraną wojną, inflacją, bezrobociem familienfatrom. „Do diabła z moralnością, do diabła z ludzkością, tylko łajdakom się dobrze powodzi, niech ja też coś w życiu mam. Ja też chcę władzy, siły, bogactw. Dosyć tej zaśniedziałej poczciwości! Maszerujmy tłuczmy, bijmy!"

No i tłukli, bili, maszerowali. A jak marsz skończył się o „godzinie zero" – poczuli się oszukani, zdradzeni. Poniekąd słusznie. Istotnie uwierzyli złym prorokom.

Tomasz i Henryk Mannowie, pierwszy nowelą o kodyfikatorze Dekalogu, drugi powieścią o dobrym królu zapewne ani nie wykorzenili „kieszonkowego makiawelizmu" ani nawet nie stworzyli jakiejś skuteczniejszej tamy przeciw produkcji dzieł opiewających bezsens historii, daremność wysiłków ludzi dobrych, triumf zła i przemocy. Tym niemniej ich trud wydaje mi się mniej jałowy, otwierający lepsze widoki na przyszłość, jest godniejszą reakcją na publiczną, zorganizowaną zbrodnię, niż konstruowanie przypowieści o Wielkim Mechanizmie i immanentnym skażeniu władzy przez zło. Takie mity w końcu (znowu: przefiltrowane przez mózgi pół, ćwierć i mikrointeligentów) zamiast oskarżać – rozgrzeszają zbrodniarzy, a ludowi podpowiadają, żeby mówił „amen" bezprawiu.

Janina Wieczerska

Po naszych publikacjach

„Więcej niż konsumeryzm”

W artykule pod tytułem „Więcej niż konsumeryzm” autor rzuca wiele gorzkich słów pod adresem zakładów zgrupowanych w naszym zjednoczeniu. Użycie bez uprzedniego zbadania sprawy następującego sformułowania na łamach czasopisma: „A wszelkiego rodzaju machinacje cenowe i asortymentowe będące niekiedy pospolitymi oszustwami to może przejaw szczególnej troski o konsumenta?” – jest co najmniej krzywdzące dla producenta i zjednoczenia. Krytykowana przez autora artykułu Fabryka Syntetyków Zapachowych „Pollena-Aroma” nie dostarcza swoich wyrobów bezpośrednio na rynek (dla bezpośrednich konsumentów) lecz przekazuje je do zakładów perfumeryjno-kosmetycznych i chemii gospodarczej.

Poziom cen wyrobów „Aromy” nie ma więc wpływu na wzrost cen detalicznych wyrobów bezpośrednio zakupywanych przez konsumentów. Zmiana cen zbytu syntetyków i kompozycji zapachowych nie powoduje wzrostu czy spadku cen detalicznych wyrobów perfumeryjno-kosmetycznych. Ceny detaliczne tych wyrobów są stałe, mimo że koszty produkcji z różnych względów ulegają dość znacznym wahaniom. Prawdą jest, że inspektorzy Państwowej Komisji Cen stwierdzili nadmierną rentowność na wielu wyrobach produkowanych przez FSZ „Pollena-Aroma”. Ta nadmierna rentowność nie wynikła jednak z chęci oszustwa, jak to przedstawił autor artykułu, lecz z następujących powodów:

- przyjęcia do kalkulacji wyższych cen zakupu surowców importowanych od faktycznie płaconych w 1976 r. Produkcja FSZ „Pollena-Aroma” jest w znacznej mierze oparta na surowcach importowanych. Ruch cen zakupu tych surowców (w górę i w dół) jest znaczny. Nikt nie jest w stanie dokładnie określić (ze znacznym wyprzedzeniem) wysokości ceny zakupu konkretnego surowca;

- krytykowane ceny zbytu syntetyków i kompozycji zapachowych obowiązywały od 1 stycznia 1976 r. a ustalone były w III kwartale 1975 r. W tym czasie obowiązywał narzut akumulacyjny w wysokości 60 proc. od kosztów przerobu i w związku z tym w tej wysokości został wliczony do cen zbytu. Narzut akumulacyjny w wysokości 28 proc. obowiązywał (na mocy pisma Państwowej Komisji Cen) od 1 marca 1976 r, a więc już po ustaleniu i opublikowaniu cen zbytu.

Z chwilą stwierdzenia nadmiernej rentowności wprowadzony został podatek obrotowy w wysokości 25 proc. od cen zbytu i w ten sposób nadmierne i dodatkowe zyski do końca 1977 r. zostały odprowadzone do budżetu państwa. Od dnia 1 stycznia 1978 r. na kompozycje i syntetyki zapachowe FSZ „Pollena-Aroma” obniżone zostały ceny zbytu. Obecnie koszty wynikowe I półrocza 1978 r. wykazują, że na skutek wzrostu cen zakupu surowców zużywanych przez „Aromę” – wartość produkcji pierwszego półrocza 1978 r. liczona po nowych, obniżonych cenach zbytu jest niższa od kosztów produkcji tych wyrobów i fabryka ponosi straty. W świetle powyższego rodzi się potrzeba kolejnych zmian cen zbytu w „Aromie”.

Żadna z tych zmian nie powoduje ani obniżki ani podwyżki cen wyrobów perfumeryjno-kosmetycznych, a więc nie wpływa na kieszeń konsumenta.

Zjednoczenie stwierdza, że wysokie zyski, które tak bardzo niepokoją autora artykułu nie są głównym celem przedsiębiorstwa gdyż nie wpływają one ani do kieszeni dyrekcji, ani też załogi, lecz rozdysponowane są zgodnie z obowiązującymi przepisami. Większość z nich tafia do budżetu państwa. Odrębne zagadnienie stanowi ilość wprowadzonych do obrotu nowych asortymentów. W latach 1974–1975 na polecenie władz zwierzchnich wprowadzono znacznie większe ilości nowych asortymentów niż w 1977 i 1978 r. Obecnie zakłady zgrupowane w naszym zjednoczeniu z uwagi na poważne trudności surowcowo-opakowaniowe koncentrują się na maksymalnym zaspokojeniu potrzeb w artykuły poszukiwane na rynku, a nie na wprowadzaniu nowych asortymentów. Na koniec zjednoczenie proponuje aby przed opublikowaniem artykułu autor zasięgnął informacji zjednoczenia – co pozwoliłoby na lepsze zrozumienie poruszonych problemów i przyniosłoby obopólne korzyści.

Zastępca naczelnego dyrektora
do spraw handlowych
mgr Jerzy Herde

Tłumaczenie nieprawidłowości w ustalaniu cen, jakie zaprezentował powyżej dyrektor zjednoczenia „Pollena” jest zaskakujące. To, że na niektórych wyrobach osiągnięto zysk w wysokości 330 a nawet 700 procent w stosunku do kosztów przerobu to drobiazg, bo te pieniądze nie trafiły do prywatnej kieszeni, ale do budżetu państwa. Również stwierdzenie, iż ceny komponentów nie wpływają na ceny wyrobów finalnych jest raczej bajką, niż prawdą. A dlaczegóż to znikają z rynku wyroby tańsze – bo producentom nie opłaca się ich produkować, przy danej cenie, gdy składniki do ich wytwarzania drożeją. Przecież właśnie w zjednoczeniu „Pollena” trzeba było ingerencji wysokich władz, by powróciły na sklepowe półki takie popularne wyroby jak mydło do golenia czy tanie pasty do zębów.

A brak takich wyrobów to strata klientów, zmuszonych tym samym do zakupu towarów droższych. Niezasłużone zyski odebrane przedsiębiorstwu na skutek ingerencji Państwowej Komisji Cen, wpływałyby na wysokość wyników gospodarczych zjednoczenia, a zatem na premie, nagrody itp. Stąd też pomyłki w kalkulacjach nie są tak bezinteresowne, jakby się to mogło wydawać. A nieprawidłowości występowały nie tylko w jednym z przedsiębiorstw podległych zjednoczeniu.

Wydawać by się mogło, że takich rzeczy jak inflacja i sposoby jej rozprzestrzeniania się nie trzeba tłumaczyć dyrektorowi do spraw handlowych, a jednak znajomość tych zagadnień pozwoliłaby na lepsze zrozumienie poruszonych problemów i przyniosłaby korzyści – zwłaszcza nabywcom wyrobów zjednoczenia.

Maciej Borkowski

„Kiedy żegluga nazywała się Darski”

W „Czasie” nr 33 przeczytałem artykuł pt. „Kiedy żegluga nazywała się Darski”, recenzję książki Stanisława Darskiego pt. „W służbie żeglugi”. Żałuję bardzo, że nabyć tej książki nie mogę, pracowałem w PZM 3 lata, zaś od 1921 r. osobiście znałem b. wiceministra profesora Tadeusza Ocioszyńskiego, niedawno zmarłego. Jego historyczne zasługi sięgają roku 1939 kiedy jako dyrektor departamentu handlu morskiego zdążył dać iskrową depeszę na świat cały, by nasza marynarka handlowa, wobec napaści Niemców nie zawijała do portów macierzystych, a zachowała się w portach alianckich.

W ten sposób T. Ocioszyński umożliwił naszej flocie wzięcie udziału w obronie kraju na różnych frontach świata.

Z działalnością profesora Tadeusza Ocioszyńskiego związane są zasługi dla morza takiej rangi, że pływa okręt Jego imienia i w Uniwersytecie Gdańskim jest Jego imieniem nazwana aula. Czy autor „W służbie żeglugi” nic nie wspomina o tym swym wspaniałym współpracowniku, któremu należy się monografia nie w skali pamiętnika, a pracy naukowej. Można by sięgnąć do materiałów, jakimi dysponuje jego żona Zofia Ocioszyńska zamieszkała w Sopocie.

Bardzo by mi było miło, gdyby redakcja zainteresowała się spuścizną naukową profesora, wielkiego Polaka, organizatora życia gospodarczego całego Wybrzeża i handlu morskiego po 1945 r.

Mieczysław Hartwig
Gdańsk

Poezja

W nrze 32 waszego pisma został zamieszczony „rzekomo” wiersz Marka Grali pt. „Ty iasnowłosa panno bosa”. Nie mogę zrozumieć jak redakcja nie może odróżnić prawdziwej poezji od „poezji” ze śmietnika. Taki stek bzdur i wulgarności w jednym utworze – to wprost nie do uwierzenia, że cenzura to przepuściła. Może się ten ktoś produkować w gronie sobie podobnych, ale nie obrażać uszu wszystkich obywateli na łamach prasy ogólnodostępnej.

Jak wy chcecie walczyć o czystość języka, jak wychowywać młodzież, żeby na ulicy nie „bluzgała” jeśli ją karmicie taką pseudo-poezją. Nie wiem czy wasze żony, siostry byłyby zachwycone, gdyby je ktoś obrzucił takimi „czułościami”. Jeśli nie brak wam smaku literackiego, to przynajmniej powinniście się wstydzić, że „coś takiego” ujrzało światło dzienne.

Maria Molga-Lalicz
Elbląg

Polki i oberki

■ Operę czy raczej aferę za trzy grosze ujawnia „Express Wieczorny” przy współpracy swej czytelniczki, która pod murem Hali Mirowskiej zaobserwowała następującą scenę: do żebrającej pod murem kobiety podszedł mężczyzna, odebrał od żebraczki sporą garść bilonu, *przeliczył i zadowolony ruszył na Elektoralną. Poszłam za nim* – kontynuuje czytelniczka „Expressu”. – *Wstąpił na Chłodnej do warzywniczego, ale zaraz wyszedł, pewnie piwa nie było... Dlaczego MO nie sprawdza, kto żebrze i w jakich jest warunkach?* Dla ułatwienia pracy organom ścigania odmalowano wizerunek współczesnego króla żebraków: *...mężczyzna elegancko ubrany, lat około 40. Prowadził na smyczy białego szpica z rudą łatką.* Rysopis ten przypomina jednak bardziej Mackie Majchra niż pana Peachuma.

■ Rolnicy z Moniek nie chcą kupować suwalskiego wapna z kopalni w Sołdanach twierdząc, że jest ono podłej jakości. Tymczasem – jak podaje „Gazeta Współczesna” – *sprawa, o czym można przekonać się w Sołdanach wygląda nieco inaczej: W Sołdanach mówią krótko: na naszym wapnie zrobiono habilitację.* Wyjaśniło się więc wreszcie na czym się rodzą habilitacje: nie na kamieniu, a na wapnie.

■ W poznańskim „Polonezie” odbyło się huczne weselisko z niespodzianką. Wzięty lekarz wydawał za mąż jedynaczkę. Stosownie do pozycji społecznej i majątku gospodarza oraz ekskluzywnego miejsca uroczystości goście wystąpili w długich wymyślnych toaletach (panie) oraz frakach (!) i smokingach (panowie), ze stosownymi prezentami, zaś spod Pałacu Ślubów zajechali pod „Polonezę” stosownymi wozami: mercedesami, citroenami, volvo. Fiaty i łady służyły jedynie do transportu wytwornych upominków i kwiatów. Cały ten bon monde, który zjechał się z różnych stron kraju, pochodził po mieczu albo kądzieli z jednego podpoznańskiego miasteczka słynącego z licznych cnót swych obywateli: pracowitości, solidności, porządku, co okaże się nie bez znaczenia. Biesiada trwała do późna. Na zamówienia weselników kelnerzy serwowali homary, kawior, łososie i najprzedniejsze trunki. Zabawa była znakomita, jedynie młodzi i rodzice wynieśli się wkrótce po pierwszym toaście. Niespodzianka spotkała nocujących w „Polonezie” biesiadników dopiero rano. Wraz ze śniadaniami dostarczono do pokojów... rachunki w granicach od 3 do 7 tysięcy złotych. Mimo totalnego zaskoczenia cnoty wzięły jednak górę nad niecnotami – tylko dwóch gości odmówiło opłacenia kosztów weselnej kolacji.

■ „Gazeta Robotnicza” informuje, że w Wałbrzyskiem kradną, mimo iż mienia społecznego pilnują obok funkcjonariuszy MO także płatni stróże a w fabrykach – strażnicy przemysłowi. Problem tkwi w tym, że ciecie na służbie piją ponad miarę przysparzając tyle roboty milicji, że ta już nie ma czasu na łapanie złodziei.

Jacek Malczewski – „Autoportret w zbroi"

Marian Mokwa – „W Zatoce Puckiej"

Obraz morza

EDMUND PUZDROWSKI

Morze jest, jak i ziemia, jednym z tych żywiołów, których opanowanie było źródłem nie tylko materialnego ale i duchowego rozwoju ludzkości. Dwie tradycje kulturalnej Europy: jedna związana z mitem śródziemnomorskim, a druga z mitem północy, związane są także z morzami, z kulturami rozwijanymi wokół morskich basenów.

Odbicie właściwości morza w sztuce, będące odbiciem stosunku człowieka do niego, przyjmowało wśród narodów różną postać. Jest prawdą, że Polacy przez długie wieki nie doceniali morza.

Nie tak zupełnie jednak, jak przywykło się sądzić, i na przykład przekonanie, że do rzadkości należą motywy morskie w malarstwie polskim jest tyleż niesłuszne, co do niedawna bardzo powszechne. Piszę „do niedawna", ponieważ wystawa „Morze w malarstwie polskim XVII-XX wieku" eksponowana w gdańskim Muzeum Narodowym i to stwierdzenie stawia w rzędzie mitów. Oczywiście morze – jego obraz – nie znajdują w malarstwie polskim takiego miejsca, jak na przykład w sztuce angielskiej XVIII wieku. Niemniej polska twórczość marynistyczna jest, jak na kraj przez wieki odwrócony od morza, wcale obfita.

Różnorodne wątki morskie pojawiają się w malarstwie polskim bardzo wcześnie. Obecne już w malarstwie okresu renesansu i baroku, występowały także wcześniej, w gotyku, stanowiąc dopełnienie tła kompozycyjnego lub związane z ikonografią scen biblijnych czy z życia świętych.

Ważne znaczenie dla zindywidualizowania wątków morskich w twórczości malarskiej miały te zamierzenia Korony Polskiej, które związane były z próbami odzyskania jej znaczenia na Bałtyku. W twórczości co najmniej dwóch artystów siedemnastego wieku pojawiają się motywy związane z największą w ówczesnych dziejach floty polskiej bitwą, jaką w 1627 roku okręty króla polskiego stoczyły pod Oliwą. Nie zachował się do naszych czasów, znajdujący się do 1945 roku w gdańskim Ratuszu Głównomiejskim, obraz olejny Bartłomieja Milwitza, przedstawiający bitwę z lotu ptaka wraz z panoramą pobrzeża od Wisłoujścia do Kolibek. Eksponowana jest natomiast na wystawie wykonana w 1630 akwarela Adolfa Boya, również malarza gdańskiego, przedstawiająca bitwę pod Oliwą. W malarstwie XVII i XVIII wieku, związanym z wątkami morskimi, pierwszoplanową rolę odgrywali, z zupełnie zrozumiałych względów, malarze gdańscy i pomorscy.

W XIX wieku, okresie świetności sztuki marynistycznej, zapoczątkowanej romantycznym przełomem, Polska była rozdarta pomiędzy zaborcami. Sztuce polskiej tego okresu zabrakło tych uzasadnień, które uwidoczniły się w Wielkiej Brytanii czy innych krajach morskich. Morze, przedstawiane przez naszych artystów nie zawsze było morzem polskim, nie zawsze był to Bałtyk. Pomimo to pojawiają się w tym okresie malarze, dla których morze stanowi pierwszorzędną podnietę twórczości. W doborze motywów decydujące znaczenie osiąga duch romantyczny, stąd przewaga owych burz morskich, wschodów i zachodów słońca, będących jakimś wyrazem nastrojów i stanów duszy ludzkiej.

Znaczne powodzenie osiągają w tym czasie January Suchodolski i Franciszek Lampi, który pozostawił w swoim dorobku sporo obrazów marynistycznych. Jego twórczość charakteryzuje Edward Rastawiecki, autor „Słownika malarzy polskich" w sposób następujący: *„wiele tworów jego przy bliższym w nie wpatrzeniu się, pozostawiają jakieś uczucie niezadowolenia. Przypisać to wypada głównej artysty wadzie, zbytecznemu uleganiu popędowi wyobraźni, idealizowaniu z ujmą wprawy, z zaniedbaniem śledzenia natury..."* Dominacja wyobraźni nad realnością przedstawień jest w marynistycznym malarstwie romantycznym sprawą oczywistą.

Pod koniec XIX wieku, wraz z rozwojem polskiego malarstwa pejzażowego, coraz potężniej wkracza do sztuki motyw morza. Już nie wyobraźnia, a wnikliwe obserwacje zmiennych rytmów i przemian, obserwacja ludzi morza – rybaków, znajdują swoje odzwierciedlenie na płótnach naszych mistrzów. Pojawiają się dosyć popularne w tym okresie motywy znad Bosforu, ale i znad Bałtyku, jak w twórczości Stanisława Witkiewicza czy Leona Wyczółkowskiego malujących w kurońskiej Połądze. W tej samej Połądze, z którą związana była twórczość świetnego symbolisty i prekursora abstrakcjonizmu Eduardasa Mieželaitisa, studenta warszawskiej Szkoły Rysunków.

Prawdziwie motyw polskiego morza – Bałtyku miał się pojawić w naszej sztuce dopiero po odzyskaniu niepodległości. Jest charakterystyczne, że na pierwszej „Wystawie Sztuk Pięknych Artystów Pomorskich", która odbyła się w 1921 roku w Grudziądzu, Bałtyk jest prawie – poza pracami Mariana Mokwy i Stanisława Chlebowskiego – nieobecny. Ale w kilka nieledwie lat później, wraz z otwieraniem okna na świat w budującej się Gdyni, Bałtyk miał stać się motywem wielu znakomitych dzieł polskich artystów. Prawdziwą rewelację gdańskiej wystawy stanowi cykl obrazów Wojciecha Weissa, pochodzący ze zbiorów rodziny artysty, a obrazujący związki tego malarza z nadmorskim pejzażem Jastrzębiej Góry.

Większość obrazów gdańskiej wystawy to na ogół dzieła przedstawiające, będące odwzorowaniem zmiennej i niespokojnej natury morza. Ciekawy epizod stanowią te obrazy, które w oparciu o jakiś motyw morza, o jakąś ideę związków człowieka z tym potężnym żywiołem, poszukują dla niego czysto plastycznych odpowiedników. Bardzo interesująco dokumentuje to zagadnienie kolekcja obrazów wypożyczona na wystawę ze zbiorów Muzeum Sztuki w Łodzi.

Dobrze się stało, że w trzydziestolecie udostępnienia swoich zbiorów publiczności, Muzeum Narodowe w Gdańsku podjęło zamysł zorganizowania tej niecodziennej wystawy ilustrującej prawie 350 obrazami czterowiekowe związki polskiego malarstwa z morzem. Zamysł, który doczekać się mógł realizacji dzięki osobistej pasji kuratora działu malarstwa Muzeum Narodowego w Gdańsku mgr Krystyny Fabijańskiej-Przybytko i życzliwej współpracy muzeów polskich i obcych, a także rodzin artystów, które wypożyczyły na gdański pokaz obrazy ze swoich kolekcji.

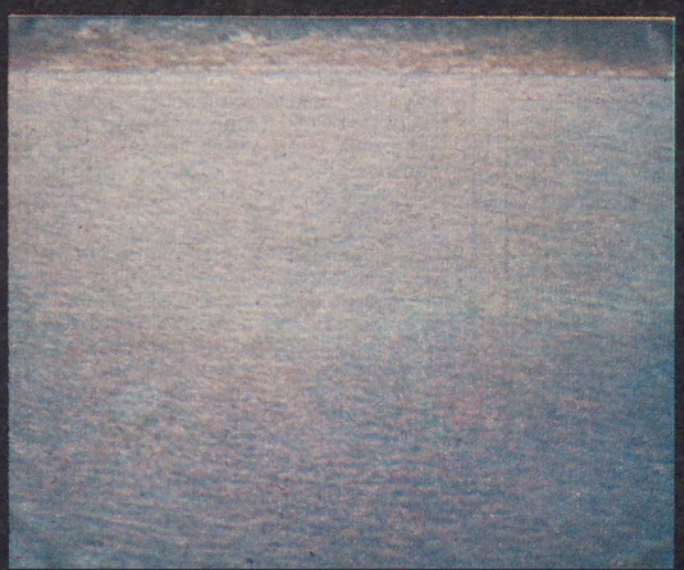

Władysław Lam – „Morze"

Wojciech Weiss – „Pejzaż z Jastrzębiej Góry"

Reprodukcje RYSZARD WESOŁOWSKI

Fot. ARCHIWUM

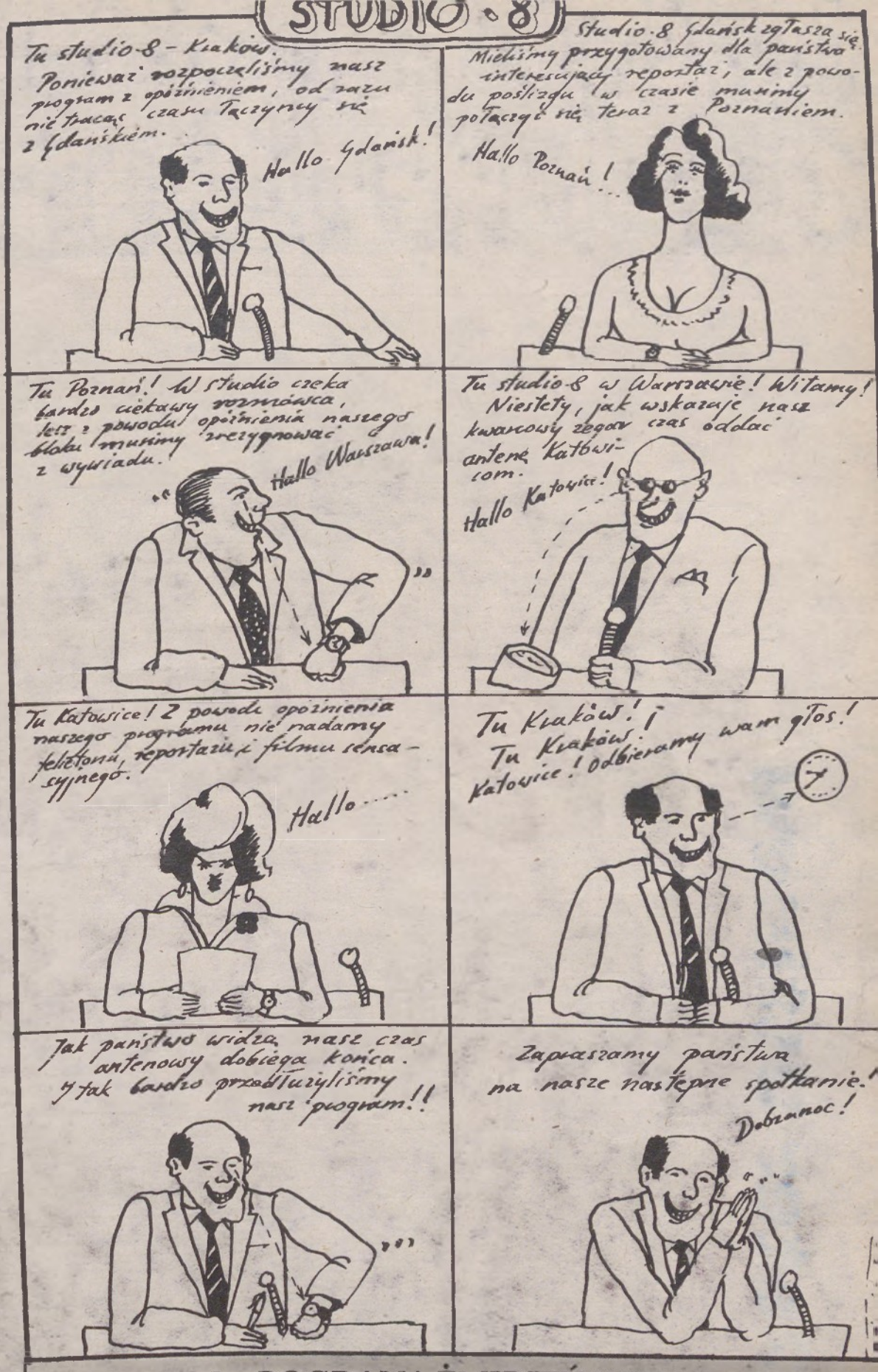

Rysunek BOGDANA ŻMIDZIŃSKIEGO

KRZYŻÓWKA

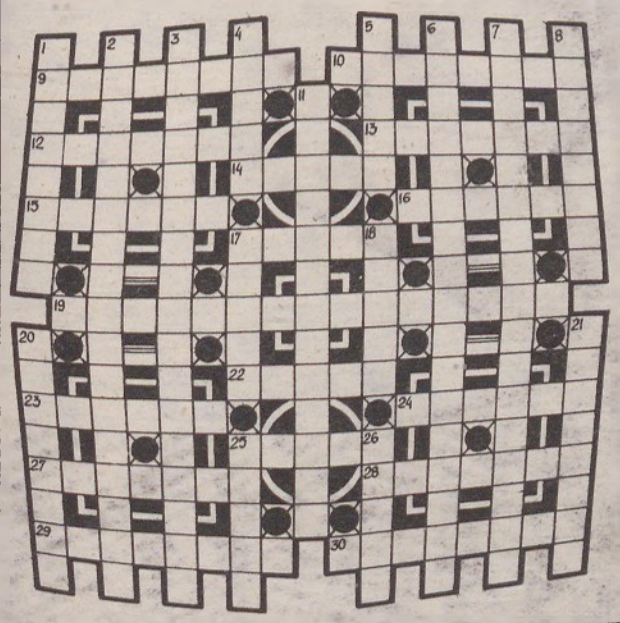

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań naszej krzyżówki rozlosujemy trzy nagrody-niespodzianki. Rozwiązania prosimy przesyłać pod adresem redakcji w terminie 10-dniowym, z dopiskiem – KRZYŻÓWKA.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 34

POZIOMO: krążek, sąsiad, obelisk, płot, Atos, trud, stół, reakcja, reszta, rozłam, miner, ustronie, lamperia, festiwal, wiązanie, żebro, strzał, stojak, Odyseja, szew, ster, piła, igła, tandeta, korona, najazd.
PIONOWO: krater, żołd, kotara, zesłanie, piszczel, skalar, stos, dyplom, puls, stół, ekspert, tropika, osprzęt, anilina, miraż, radio, lecytyny, wrzesień, sąsiek, rzep, łopata, safian, jota, karbid, wino, słój.

NAGRODY ZA ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 33 OTRZYMUJĄ:

Kazimiera SKRZYPCZAK z Bydgoszczy; Mariusz DĄBROWSKI z Gdańska; Wojciech SZELIGA z Krakowa.

POZIOMO: 9. wypłatę otrzymuje z ZUS-u; 10. miłość niczym nie zmącona; 12. taki jaki parobek; 13. leci w kosmos; 14. zostaje za pługiem; 15. enzym rozszczepiający tłuszcze; 16. na frasunek; 17. widziano ją z chwałą; 19. rozwijanie handlu; 22. okrągła scena; 23. herbaciany żaglowiec; 24. strój do łóżka; 25. nigdy nie zginie kto w niej siedzi; 27. państwowa pożyczka w obiegu; 28. w roku 1241 oparła się najazdowi Tatarów; 29. walczy; 30. uczuciowy marzyciel.

PIONOWO: 1. piąty kraj świata; 2. uczłowieczanie przyrody; 3. zagrożenie; 4. przewóz przez tę rzekę kosztuje obola; 5. góry przenosi; 6. pismo serca; 7. zwolennik wolności, równości, przyjaźni i współpracy wszystkich narodów; 8. namiot na słoniu; 11. pierwsza tancerka; 17. pług pradziadek; 18. maliny ją zgubiły; 20. przyspiesza wysychanie farby; 21. do robienia hop; 25. ..... est omnis divisa in partes tres"; 26. znajdziesz w gwiazdozbiorze Perseusza.

PORTRET NA ŻYCZENIE

Krystyny Woźniak
z Kwidzyna.

Peter Ustinow

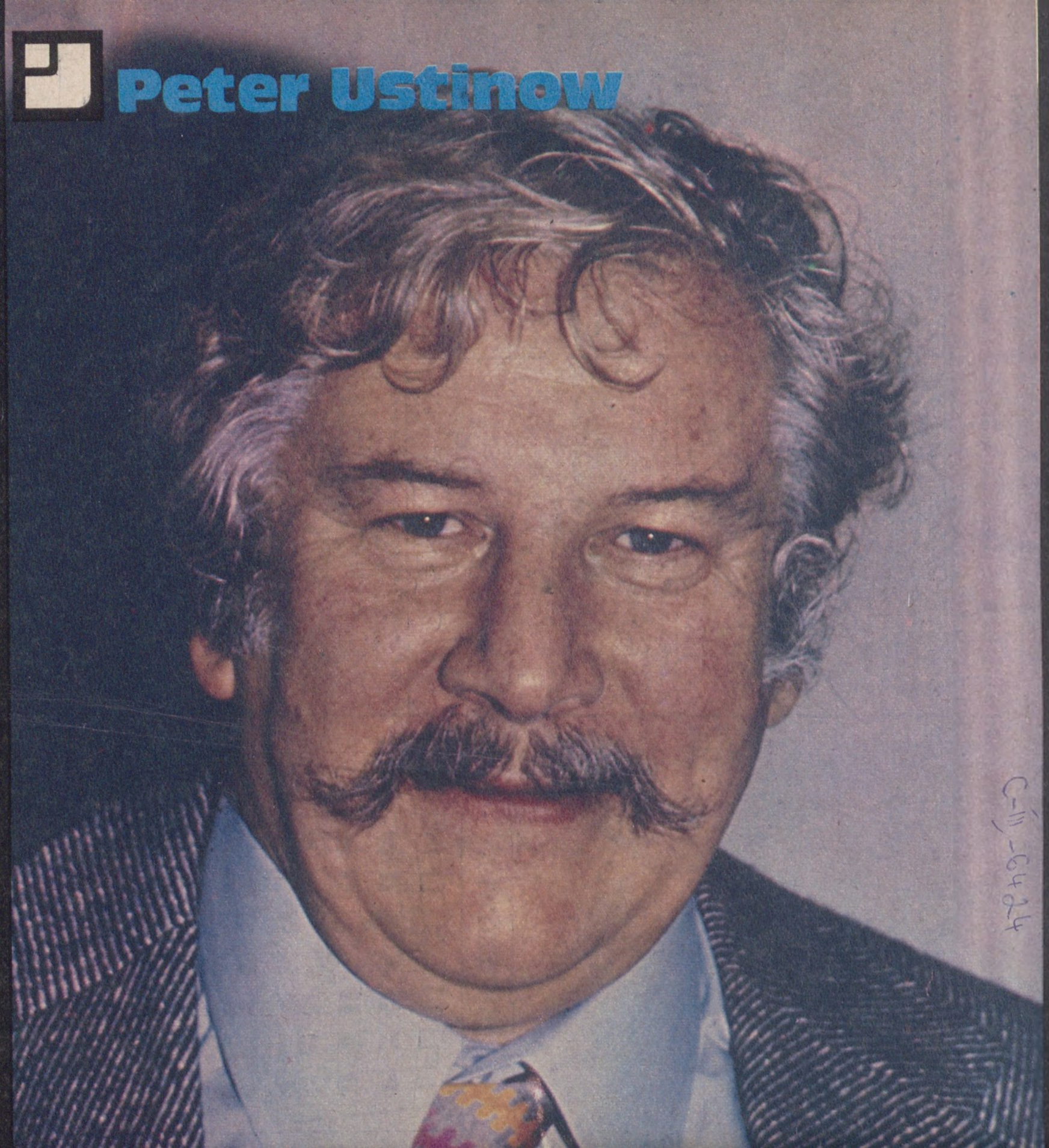

Jedna z najciekawszych i najbardziej żywotnych osobowości współczesnego kina. Pisarz, dramaturg, scenarzysta, reżyser, aktor teatralny i filmowy.

Urodził się w 1921 roku w Londynie. Twórczością zaczął zajmować się już jako 14-letni uczeń, pisząc felietony satyryczne, skecze, sztuki teatralne. Tych ostatnich ma w dorobku blisko 20, niektóre sam inscenizował.

Aktorsko debiutował w wieku 17 lat, ucząc się jednocześnie w londyńskim Theatre Studio. Wystąpił w ponad 20 filmach, m.in. jako Neron w hollywoodzkiej ekranizacji powieści H. Sienkiewicza. Duży sukces odniósł w filmie „Billy Budd" nakręconym w 1962 r. Jest laureatem dwóch „Oscarów" Amerykańskiej Akademii Filmowej – za role w „Spartakusie" oraz „Topkapi" Julesa Dassina, gdzie zagrał sympatycznego oszusta biorącego udział w wielkim skoku na skarbiec kosztowności istambułskiego muzeum. Jedna z najnowszych filmowych ról Ustinowa – to belgijski detektyw Herkules Poirot w kryminalnym thrillerze Agaty Christie „Śmierć nad Nilem".

Postacie odtwarzane przez Ustinowa odznaczają się na ogół oryginalnością i barokowym bogactwem cech charakterologicznych. Udziela im swego ciepła budząc spontaniczną sympatię widzów. Prywatnie jest człowiekiem bezpośrednim, obdarzonym nieprzeciętnym urokiem osobistym, o dużym poczuciu humoru i niewyczerpanym zasobie anegdot i dowcipów.

Ma czworo dzieci, a za sobą dwa niefortunne małżeństwa. Jedna z córek niedawno, idąc w ślady papy, rozpoczęła karierę aktorską, rokując podobno duże nadzieje.

W maju ubiegłego roku Peter Ustinow bawił krótko w Polsce. Przybył na uroczystość wręczenia „Orderu Uśmiechu". Odznaczenie to, ustanowione przed 10 laty, przyznały mu polskie dzieci za jego działalność na rzecz UNICEF, międzynarodowej organizacji niosącej pomoc dzieciom całego świata. Brytyjski artysta jest głęboko zaangażowany w jej działalność. M.in. organizuje słynne doroczne widowiska w Paryżu z bezinteresownym udziałem najwybitniejszych artystów z różnych dziedzin – dochód z tych imprez zasila fundusz UNICEF.

157 kawaler „Orderu Uśmiechu" bardzo – jak wyznał – ceni sobie to wyróżnienie.

L. K.

Fot. ARCHIWUM